

## Sąd na prerii

Bawiłem onegdaj wraz z Winnetou u Nawajów, którzy zaliczają się do wielkiego narodu Apaczów i uważają mego czerwonego brata za swego najwyższego wodza. Obozowali wówczas pośród wyżyn, w miejscu zwanym Agna Grandę i zamierzali podążyć stąd do Kolorado, czekali jednak przybycia pewnej ilości białych myśliwych, z którymi ja miałem się u nich spotkać. Tymczasem strażę przyprowadziły do obozu dwóch obcych Indian, których schwytano wśród bardzo podejrzanych okoliczności. Poddano ich badaniom, nie można było jednak z nich wydobyć ani jednego słowa. Twarzy nie mieli pomalowanych, a że nie nosili plemiennych oznak, więc nie można było określić, do jakiego szczepu należą. Wiedząc, że Utahowie w ostatnich czasach wrogim okiem patrzyli na Nawajów, rzekłem do Winnetou:

— Sądzę, że to wojownicy Utahów, gdyż plemię to posuwa się coraz bardziej na południe i wydaje się planować napad na Nawajów. Przypuszczam, iż wysłali tych dwóch drabów na przespiegi.

Sądziłem, że Winnetou przyzna mi rację. Lecz on, który zna wszy-stkie szczepy czerwonych lepiej ode mnie, odpowiedział:

— To Pa-Utes, mimo to brat mój ma słuszość, uważając ich za zwiadowców.

— Czyżby Pa-Utes zwąchali się z Utahami?

— Winnetou jest tego pewien, gdyż inaczej obaj Indianie nie odmawialiby odpowiedzi.

— W takim razie konieczna jest najwyższa ostrożność! W takim miejscu jak to, trzeba sądzić, że zwiadowcy oddalili się od swoich najwyżej o trzy dni drogi. Stąd można wnioskować iż wrogowie są blisko.

— Uff! Poszukamy ich.

—Kto?

—Ty i ja.

—Nikt więcej?

— Czworo dobrych oczu widzi lepiej niż sto ztych, a przy tym im więcej nas będzie, tym łatwiej narazimy się na dekonspirację.

— Słusznie, ale może będziemy musieli wysłać gońca do obozu.

— A więc zabierzmy ze sobą jednego Nawaja, nikogo więcej.

Howgh\

To ostatnie słowo powstrzymało mnie od dalszych propozycji.

Wiedziałem bowiem, iż przyjaciel mój powziął ostateczną decyzję.

Oddział Nawajów, który nas gościł, składał się, nie licząc kobiet, dzieci i starców, z trzystu dzielnych wojowników pod kierownictwem Nitsas Kera, bardzo zdolnego wodza. Starczyło więc sił do odparcia wroga,

który, według naszych przypuszczeń, nie mógł się zjawić w zbyt licznym zastępie. Wszelako byliśmy na tyle przezorni, że wysłaliśmy gońca do najbliższego oddziału, aby zawiadomił o niebezpieczeństwie. W czasie krótkiej narady z Nitsas Kerem zapadła decyzja zgodna z życzeniem Winnetou. Apacz, ja i młody ale wypróbowany wojownik ruszyliśmy na zwiady. Nawajowie zaś, pozostali na miejscu, zaciągnęli podwójne straże, pieczołowicie strzegąc obu jeńców i oczekując powrotu naszego lub gońca. Było bardzo wcześnie, kiedy wyruszyliśmy, mieliśmy cały dzień jazdy przed sobą. Wiedzieliśmy jedynie, że Utahowie obozują na południu tego samego terytorium, Pa-Utes zaś siedzą u zbiegu Utah, Kolorado, Arizony i Nowego Meksyku. Bye

8

to wiadomość dosyć mętna, tym bardziej, iż należało sądzić, że skoro wrogowie zamierzali napaść na Nawajów, to opuścili swe stanowiska. Dokąd więc mieliśmy się zwrócić? Tego pytania nigdy nie zadałby westmanem, my natomiast mieliśmy drogowskaz, na którym mogliśmy polegać, mianowicie trop obu zwiadowców. Znaleźliśmy go, zaraz za obozem.

Działo się to w jednej z najbardziej urodzajnych miejscowości Arizony. Kraj ten posiada nader ubogie źródła. Nieliczne rzeki mają swe koryta w bardzo głębokich kanionach, główna rzeka Kolorado płynie między skałami, wznoszącymi się miejscami zupełnie pionowo na przeszło dwa tysiące metrów, stanowiącymi łyse płaskowzgórza, wystawione na spiekotę słoneczną i szalejące huragany. Potoki, niezbyt głęboko położone, są rzadkością tutaj. Oazy te, zarośnięte trawą lub zagajnikiem i gęsto zadrzewione, cieszą swym widokiem oko podróżnika. Tam gdzie się takie małe potoki schodzą, spotkać można nawet lasy i ciągną się zielone prerie. Taki błogosławiony zakątek stanowiła właśnie okolica którą obecnie jechaliśmy.

Nietrudno więc było znaleźć ślad obu schwytych zwiadowców.

Ponieważ schwytano tych ludzi natychmiast po ich przybyciu, ślady były jeszcze świeże. Mogliśmy więc jechać galopem, nie spuszczać oka z tropu. Zwiadowcy zdawali się jechać przez całą noc, w każdym razie nie znaleźliśmy nigdzie śladu obozu. Wkrótce jednak teren przybrał charakter skalisty musieliśmy zwolnić biegu, aby nie zbczyć ze śladu. Wszelako w mroku nocnym zwiadowcy nie mogli przestrze-gać wymogów ostrożności, toteż, aczkolwiek na twardziej skale nie mogło być mowy o śladach kopyt, nie brakowało jednak innych wskazówek.

Dopiero wieczorem przybyliśmy do strumienia, nad którym po-przedniego dnia odpoczywali. Znaleźliśmy tu zakopane leki i garnki z farbą, które przekonały nas, iż zwiadowcy istotnie są Pa-Utesami, i że znajdują się na wojennej ścieżce.

Spędziliśmy tu całą noc, a nastę-pnego dnia rano pojechaliśmy dalej.

9

Niestety niepodobna było już poznać śladów, nie było to jednak przeszkodą, gdyż wystarczyło trzymać się kierunku na Rio San Juan, aby znów na nie natrafić.

Pomknęliśmy więc w kierunku północno-wschodnim, z początku przez sawannę, a potem przez równinę skal-ną, tak gładką i łysą, jak gdyby była z betonu.

Koło południa zauważyliśmy na dalekim horyzoncie ruchome punkty, które się do nas zbliżały. Ponieważ nie było nigdzie dookoła kryjówek, a nie wiedzieliśmy czy mamy przed sobą czerwonoskórych, czy białych, więc zeskoczywszy z koni, kazaliśmy im się położyć, po czym ułożyliśmy się przy nich na kamieniu. Dzięki temu przybywający nie mogli nas z daleka dojrzeć. Ruchome punkty powiększyły się i wkrótce ujrzeliśmy wyraźnie trzech jeźdźców. Winnetou przysłonił oczy ręką, wyteżył wzrok i zawołał:

— Uff! Dick Hammerdull, Pitt Holbers i trzeci biały, którego nie znam!

Hammerdull i Holbers zaliczali się do owych myśliwych, których oczekiwaliśmy w obozie. Ja także poznałem ich i podniosłem się z ziemi. Ponieważ Winnetou i Nawaj poszli za moim przykładem, trzech jeźdźcy zobaczyli nas i z miejsca osadzili rumaki. My natomiast kazaliśmy koniom skoczyć na nogi, dosiedliśmy ich i pomknęliśmy naprzeciw. Hammerdull i Holbers poznali nas i pogalopowali na spotkanie z radosnymi okrzykami.

Trzeba wiedzieć, że ci dwaj westmani byli oryginałami całą gębą, jacy się pojawiają jedynie na Dzikim Zachodzie. Wszyscy znajomi przezywali ich odwróconymi tostami. Tost oznacza złożone razem dwa kawałki chleba z masłem. Dick i Pitt zwykli byli w walce opierać się plecami, aby łatwiej obronić się przed napastnikiem, byli więc złożeni, ale nie stronami posmarowanymi masłem, stąd też nazwa odwróconych tostów.

Hammerdull był małym i co się rzadko na Zachodzie zdarza, niezwykle tęgim mężczyzną. Twarz miał pokancerowaną i napiętowaną licznymi szramami, zawsze gładko ogoloną. Chytróść jego

10

dorównywała odwadze, co czyniło go pożądanym towarzyszem, acz-kolwiek ja osobiście nieraz pragnąłem, aby działał bardziej rozważnie, niż śmiało. Posługiwał on się stale zwrotem „czy... czy nie, to na jedno wychodzi” i prawie zawsze budził nim uśmiech na twarzach swoich towarzyszy.

Pitt Holbers był, w przeciwieństwie do niego, nader długi i szczupły. Jego chude oblicze było... już miałem powiedzieć, iż było zawinięte w brodę, ale skłamałbym bardzo, gdyż cała broda składała się z niespełna setki włosów, które w rozsypce obrastały oba policzki, podbródek oraz górną wargę i zwisały stąd aż do samego pasa. Wyglądało to tak, jak gdyby mole wyżarły mu dziewięć dziesiątych zarostu. Pitt był bardzo skąpy w słowie, bardzo rezolutny, nader użyteczny jako towarzysz i odzywał się tylko wtedy, gdy go pytano.

Trzeciego jeźdźca nie znaleźliśmy. Był wyższy od Holbersa, a przy tym zastrasząco suchy. Zdawało się że słycać prawie, klekotanie jego kości. Od razu poczułam, iż nie będę mógł się z nim zaprzyjaźnić, twarz miał nerwową, spojrzenie zaś wyzywające. Był to z pewnością człowiek twardy i bezwzględny.

Dick Hammerdull zawołał na przywołanie:

— Winnetou, Old Shatterhand! Czy widzisz, Pitt Holbers, stary coonie, czy widzisz ich?

Coon jest skrótem od racoon — szop. Było to w tym wypadku pieśzczośliwe przezwisko.

Stary coon, mimo żywej radości, odpowiedział:

— Jeśli myślisz, Dicku, że ich widzę, to masz zupełną słuszność.

Schwycili nasze ręce i potrzęsali z całej siły. Hammerdull krzyczał:

— Nareszcie, nareszcie mamy was!

— Nareszcie? — zapytałem. — Nie mogliście się przecież spodziewać, że nas już tutaj spotkacie, bo umówiliśmy się w Grandę, odległym o półtora dnia drogi.

Czyżby tęsknota do nas była aż tak wielka?

— Naturalnie! Nieskończenie wielka!

— Gdzie są pozostali?

11

— W tym sęk! Dlatego właśnie tęskniliśmy do was i dlatego wypędziliśmy ostatnie siły z naszych wierzchowców. Musimy czym prędzej mknąć do Agna Grandę po przyzwoity oddział Nawajów.

— Dlaczego?

— Aby napaść na Pa-Utesów, którzy schwytali naszych towarzyszy.

Naprzód zatem messurs, bo możemy się spóźnić z pomocą.

Chciał popędzić konia. Lecz zdążyłem go chwycić za cugle i rze-kłem:

— Nie tak szybko, Dicku! Przede wszystkim musimy wiedzieć, co się zdarzyło.

Zejdźcie z koni i opowiedzcie.

— Zejść z konia? Ani mi się śni! Mogę opowiedzieć podczas jazdy!

— Ale ja chcę wysłuchać w spokoju. Znacie moje usposobienie.

Zbyteczny pośpiech może tylko zaszkodzić. Zanim się zacznie działać najpierw całą rzecz należy rozważyć.

— Ale nie ma czasu na rozważania!

— Mówię wam, że mamy dosyć czasu. Najpierw musicie opowiedzieć, kim jest wasz towarzysz!

Winnetou zsiadł z konia, ja również. Ti-zej przybysze musieli zatem iść za naszym przykładem.

— No, Pitt Holbers, stary coonie, musimy więc tracić nasz cenny czas — mruknął Hammerdull. — Co o tym sądzisz?

— Skoro Old Shatterhand i Winnetou tego pragną, musi to być słuszne — odpowiedział zapytany.

— Słuszne, czy nie, to na jedno wychodzi, trzeba śpieszyć z pomocą, ale cóż, nie możemy się sprzeciwiać!

Przysiedli się do nas. Nieznajomy podał mi rękę tak, jak byśmy się już dobrze znali, ja zaś ucisnąłem ją bardzo lekko, gdyż nie przywykłem ścisnąć ręki człowieka, do którego nie czuję sympatii. Skoro chudzielec wyciągnął rękę do Winnetou, ten udał,

iż nie spostrzega tego gestu. Apacz zatem czuł w stosunku do tego człowieka t? samą antypatię co i ja.

— Chcecie wiedzieć, kim jest ten gentleman, — oświadczył Dick

12

Oo

ya

^9

**O**

-r

a

^

Hammerdull. — Nazywa się Flechter, od trzech dziesiątków lat hasa na Dzikim Zachodzie i przyłączył się do nas wraz z czterema kolegami, pragnącymi poznać Old Shatterhanda i Winnetou.

— Tak, messurs, to prawda, co powiedział mister Hammerdull, — wtrącił Flechter.

— Włóczę się już prawie trzydzieści lat na Far West i podjąłem się zmusić tych przeklętych czerwonych, ażeby diabła poszukali na innym gruncie. Takie drańskie kanalie, jak oni, niech ich diabeł porwie, a ponieważ ufam, że panowie podzielacie moje zdanie, więc będą musieli spieprzać stąd hultaje.

Mowa ta krótko mówiąc mnie zde gustowała. Tyle przekleństw w takiej krótkiej oracji! Gdy skończył przyjrzał się nam, jak gdyby spodziewając się najwyższego uznania! Ja zaś odczułem te przekleństwa jak ciosy w głowę. Teraz już wiedziałem dobrze, kogo mam przed sobą, wiedziałem lepiej, niż mi to mógł powiedzieć Hammerdull. Nieraz opowiadano o tym człowieku, którego każdy mógł poznać po jego brudnych wyrażeniach. Tak, to był westman, ale najniższego gatunku! Nie było czynu, do którego nie byłby zdolny. Stryczek już nieraz wisiął nad jego głową. Jego nienawiść do Indian przewyższała wszystko, co można sobie było wyobrazić, a kiedy się słuchało o niektórych jego czynach, to nieraz włosy formalnie stawały dęba. Dodajmy do tego, iż delectował się przekleństwami, tak że w końcu nawet ludzie ordynarni oddalali się od niego. Jakieś niezwykle szczęście musiało mu dopisywać, że dotychczas nie zetknął się ze skutecznością prawa i uchodził zemście Indian, aczkolwiek każdy, kto go poznał, twierdzi, że ten nikczemnik zasługuje na okrutną śmierć. Niezwykła kościstość i przekleństwa zyskały mu przydomek Old Cur-sing-Dry, jednak wiadomo było, że każdy, kto śmiał go tak nazwać przy nim ryzykował głową.

— No, czy aby nie jesteście niemi messurs? — zapytał, nie otrzymawszy odpowiedzi. — Zdaje się, że umiecie mówić!

Winnetou siedział z nieruchomą twarzą i opuszczonymi powiekami. Gdyby zechciał odpowiedzieć, uczyniłby to nożem, a nie wargami.

13

Dlatego wolałem go uprzedzić.

— Powiedz mi pan, czy się nie mylę, uważając pana za Old Cur-sing-Dry!

Zerwał się na równe nogi, wyciągnął nóż i huknął:

— Jak... co... kim jestem... jak mnie pan nazwał?! Czy mam tym żelazem przebić pańskie przekłete mięso? Uczynię to natychmiast, jeśli mnie pan nie poprosi o wybaczenie i...

— Milcz! — przerwałem mu, wyciągając rewolwer i mierząc w niego. — Przy najmniejszym ruchu nożem dostaniesz kulę w łeb! Old Shatterhand nie pozwala się tak prędko zarżnąć jak się ci wydaje. Zobacz, że i Winnetou trzyma swój rewolwer gotowy do strzału!

Przybyliście dziś do ludzi, którzy zwykli nie robić długich ceregieli. Widzisz przecież, że mój palec spoczywa na cynglu. Odpowiadaj, czy jesteś Old Cursing-Dry, czy nie?

Oczy Flechtera rozbłysły gniewem, ale widząc naszą przewagę, schował nóż, usiadł i rzekł z pozornym spokojem:

— Nazywam się Flechter. Jak mnie inni nazywają, to ani mnie ani was nie obchodzi!

— Obchodzi nas chyba, kto się do nas przyłącza! Dicku Hammer-dull, czy wiedział pan, że ten człowiek jest Old Cursing-Dry!

— Nie — odpowiedział zakłopotany Dick.

— Jak dawno przebywacie razem?

— Może z tydzień. Jak myślisz, Pitt Holbers, stary coonief

— Jeśli sądzisz, Dicku, że tak długo, to sądzisz słusznie. — odpowiedział Holbers.

— Czy słusznie, czy nie, to na jedno wychodzi, jest dokładnie tydzień, ani dłużej, ani krócej.

— A więc musiały zwrócić waszą uwagę jego przekleństwa? — dodałem.

— Jego przekleństwa? Hm, tak! Myślałem chwilami, że mógłby się inaczej wyrażać, ale nie wiedziałem, że jest to Old Cursing-Dry!

— Nie chcę teraz nic powiedzieć, ale gdybyście wiedzieli, kogo

14

srowadzacie... wiecie zresztą, co mam na myśli. W naszej obecności mówi się przyzwoicie. Nie znosimy przekleństw, a komu to nie przy-pada do gustu, ten może jak najprędzej się ulotnić, jeśli nie chce, abyśmy mu pomogli. Na teraz dosyć! Mamy coś ważniejszego do omówienia. Oczekiwaliśmy was oraz innych ludzi. Czy wpadli w ręce Pa-Utesów?

— Tak.

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem.

- Gdzie?
- Nad Rio San Juan.
- W jaki sposób?
- Nie wiem, w jaki sposób.
- Nie pojmuję! Wszak musisz wiedzieć, co się zdarzyło?
- Byłoby to słuszne, gdyby się zdarzyło w naszej obecności, mister Shatterhand.
- Więc was przy tym nie było?
- Nie. Oddaliliśmy się po mięso, a ponieważ nie od razu znaleźliśmy zwierzynę, więc uszliśmy dosyć daleko od obozu. Kiedy wróciliśmy, było już zupełnie ciemno i wpadlibyśmy na pewno w ręce Pa-Utes, gdyby nie mister Flechter, który wyjechał na nasze spotkanie, aby nas ostrzec.
- Dalej. Dosiadaliście wierzchowców?
- Tak, ponieważ wyruszyliśmy na antylopy.
- Flechter również dosiadał konia?
- Naturalnie! Skoro więc spotkaliśmy się z nim zsiadliśmy z rumaków i podkradliśmy się do obozu. Udało nam się tak zbliżyć, że zobaczyliśmy ośmiu towarzyszy, leżeli spętani wśród czerwonoskórnych.
- Wszyscy żywi?
- Tak. Nie byli nawet ranni.
- Hm, to bardzo dziwne! Czy nie słyszeliście żadnych strzałów?

15

- Nie, byliśmy zbyt daleko od obozu.
- Czy nie było śladu walki?
- Dwaj martwi Indianie leżeli w pobliżu ogniska.
- To dziwne! Czy podsłuchiwaliście?
- Czy podsłuchiwalismy, czy nie, to na jedno wychodzi, nie przemówiono ani słowa. W ogóle zbyt się narażaliśmy i musieliśmy dbać o własne bezpieczeństwo. Dlatego czym prędzej pośpieszyliśmy do naszych koni i pomknęliśmy.
- Dokąd?
- Oczywiście do was, gdyż nic innego nam nie pozostawało, jak odszukać was i przy pomocy Nawajów odbić jeńców. Dlatego proponuję natychmiast ruszyć do Agna Grandę i...
- Cierpliwości! — przerwałem. — Jeszcze daleko do tego! Przed powzięciem decyzji musimy wszystko dokładnie poznać. Przede wszystkim chodzi o obu zabitych Indian? Kto ich zabił? Może pan wie, Flechter?
- Zostaw mnie pan w spokoju! — odparł. — Co mnie tam obchodzą czerwoni hultaje!
- Czy nie obchodzą pana także biali koledzy, których schwytano?
- Gdyby tam nie był mój syn i mój bratanek, mógłby ich diabeł zabrać!
- Słuchaj pan, wyrażaj się pan inaczej, bo cię przepędzimy i zobaczy pan, jak uwolnią się pana krewni! Jesteśmy gotowi im pomóc, ale musimy znać całą

prawdę! A zatem nie wie pan, w jakich okolicznościach zostali zabici obaj Indianie?

—Nie.

— A więc opowiedz pan, jak nastąpił napad?

— Nie mogę tego zrobić, gdyż mnie tam nie było.

— A więc i pan wyszedł z obozu? Dokąd?

— Po mięso.

— To i pana do tego wyznaczono?

— Nie, ale czas mi się bardzo dłużył, więc pojechałem sobie. Kiedy

16

wróciłem, po zapadnięciu zmierzchu, usłyszałem okrzyki wojenne czerwonych, dobiegające z obozu. Nic mi innego nie pozostało, jak jechać Hammerdullowi i Holbersowi na spotkanie. To wszystko, co wiem o tej przeklętej historii.

— Ilu było Pa-Utesów?

— Mogło ich być trzystu. Jeżeli będziemy mieli połowę tej ilości Nawajów, to podejmuję się wyrwać tym drańskim włóczgom życie z ich świńskich cielsk, tak że...

— Zamilcz! — zgromił go Apacz, dotychczas milczący. — Ilość ty zastrzeliłeś obu Pa-Utes!

—Nie, nie ja!

— Kłamstwo! Ty jesteś mordercą!

Oczy obu wbiły się w siebie. Brązowe rysy Apacza były zimne i dumne, prawdziwie królewskie, podczas gdy twarz Flechtera spłonęła rumieńcem bezsilnej złości, nie mógł dłużej niż kilka sekund wytrzymać spojrzenia Winnetou. Musiał opuścić powieki, ale podniósł palce jak do przysięgi i zawołał:

— Pragnę oślepnąć lub ulec zmiążdzeniu, jeśli jestem mordercą!

To wystarczy chyba, abyście mi dali spokój z pieprzonymi czerwonymi diabłami!

Zimny dreszcz mną wstrząsnął. Ja także uważałem go za mordercę. A teraz ta zuchwała przysięga! Nie mogłem wypowiedzieć słowa. Lecz Winnetou podniósł się i rzekł tonem proroka, który przenika spojrzeniem przyszłość:

— Ten biały od razu przy powitaniu przeklął całą czerwoną rasę, a więc wszystkich moich braci oraz mnie samego. Winnetou milczał, ponieważ wie, że dobry Manitou obraca przekleństwo złego człowieka w błogosławieństwo. Teraz jednak bluźnił on przeciwko samemu wielkiemu i sprawiedliwemu Manitou, sprowokował więc jego zemstę. Założył się z Wszechmogącym o światło swoich oczu i o całość swoich członków. Winnetou widzi, jak sprawiedliwość Boża spada nań i nie chce mieć w tym udziału. Wielki Manitou wie, podobnie jak



ja i Old Shatterhand, że on jest morderca, i zapłaci mu tak, jak tego żądał. Howgh\

Skoro Apacz usiadł Flechter podskoczył i powtórzył; swoje bluźnierstwo w taki sposób, że już nie mogłem usiedzieć. Podeszedłem doń, podniosłem pięść i huknąłem: — Milcz, człowieku, bo zmiążdżę cię jak gada, którego śmierć jest dla innych błogosławieństwem! Ja także nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Od nas nie możesz spodziewać się pomocy!

Przestraszył się ale miał jeszcze tyle czelności, że powiedział szy-derczo:

— Wyrzekaj się mnie pan w diabła imieniu. Ja pana pomocy nie potrzebuję, bo nie chodzi o mnie, ale o jeńców. Tylko dla nich spodziewaliśmy się pomocy od wielce znakomitych panów westma-nów. Teraz dziękuję bardzo.

— Nie dziękuj, gdyż niczego od nas nie możesz żądać. Co s.ię tyczy jeńców, uczynimy wszystko, co jest w naszej mocy. Jeśli ratunek jest możliwy, na pewno będą uratowani.

— Ale w takim razie musimy się śpieszyć! — wtrącił Dick Ham-merdull. — Nie powinniśmy tracić ani chwili czasu, mister Shatter-hand! Jak sądzisz, Pitt Holbers, stary wonie?

— Hm — odburknął z namysłem zapytany. — Jeśli dobrze rzecz rozważyć, nie możemy nic lepszego uczynić, jak zdać się na Wi.nnetou i Old Shatterhanda. Są rozsądniejsi od ciebie stary Dicku, nie mówiąc

już o mnie!

— Lepiej byś zrobił, gdybyś wcale nie mówił. Taki coon jak ty, nie powinien wcale mówić!

— Well\ Ponieważ masz bezsprzeczną słusność, więc pro'szę cię, abyś na przyszłość nie zadawał mi pytań, a wówczas stary coon będzie mógł zamknąć na zawsze dziób.

Oczywiście żartowali, gdyż nigdy w życiu jeszcze na serio się nie pokłócili. Sprzeniewierzyliby się swemu przydomkowi tostów. Ham-merdull musiał opisać nam dokładnie miejsce obozu. Na zakończenie

dodał:

— Prawdopodobnie jednak nie zastaniemy już tam czerwonych, jestem przekonany, że nas ścigają. Dlatego nalegam, abyśmy szybko podążyli do Nawajów.

— Jesteś w błędzie Dicku. — odpowiedziałem — Nie ścigają was Gdyby Pa-Utes wiedzieli, że trzech biali zbiegli, widzielibyśmy ich tu już dawno. Są bezwzględnie przeświadczeni, że wszyscy biali wpadli w niewolę.

— Ale nasze ślady! Wszak z nich musieli wnosić, że pojechaliśmy na polowanie!

— Jak mówiłeś napad nastąpił wczoraj wieczorem po zapadnięciu zmroku, a dziś rano ślady wasze były już tak nieznaczne, że niepodobna określić, czy powstały

po napadzie, czy przed nim. Wasi zaś towarzysze będą się stanowczo wystrzegać zdradzenia was, gdyż od waszej ucieczki zależy ich ocalenie. Dodajmy do tego, że Indianie znajdują się na wojenne ścieżce, i że nie mogą wieść ze sobą trupów. Pogrzebią je na miejscu. Wprawdzie skrócą tradycyjny ceremoniał, mimo to przed jutrzejszym południem nie będą jeszcze gotowi. Poza tym nic ich nie nagli, czekają powrotu swoich zwiadowców nie wiedząc, że wpadli w ręce naszych Nawajów. Widzicie więc, że mamy dosyć czasu!

- Czy dosyć czasu, czy nie, to na jedno wychodzi. Zastosuję się jednak do pana decyzji ponieważ jest pan istotnie mądrzejszy od Pitta Holbersa, starego coona, który to sam przyznał.
- Nie mówiąc już oczywiście o tobie, drogi Dicku — odciął się Holbers.
- Zamilknij! Powiedziałeś, że nie chcesz więcej mówić. Co pan zamierza czynić, mister Shatterhand?
- Winnetou postanowi. Ja prowadziłem badania, resztę pozostawiam memu czerwonemu bratu.

Winnetou i ja znaleźliśmy się lepiej, niż jacykolwiek inni ludzie.

W chwilach, kiedy należało powziąć decyzję, mogło się zdawać, że

19

posiadamy jedną duszę, jedną myśl. Co jeden wypowiadał, to drugi już potwierdzał w myślach. Tak się też obecnie stało. Apacz bowiem badawczo spojrzął mi w twarz i skoro skinąłem, zwrócił się do Nawaja, który z nami przybył, a który przez cały czas rozmowy był milczącym świadkiem, kiedy bowiem mówią wodzowie, zwyczajny wojownik musi milczeć.

- Czy mój młody czerwony brat zna dokładnie Deklil-Naszla, Czerwony Kanion rzeki Juan?

Zapytany skinął w milczeniu, Apacz zaś ciągnął dalej:

- Z obu jego wylotów prowadzą wąskie ścieżki, które znają tylko wojownicy Nawajów. Nitsas-Ker, ich wódz, niech zaprowadzi swoich wojowników do kanionu, połowę z nich niech umieści u górnego wylotu, drugą zaś u bliższego, ale niezupełnie na dole, aby ich nie dostrzeżono, pragniemy bowiem zwabić tam Pa-Utesów. Dopiero, kiedy wrogowie wejdą, bliższy oddział może podejść aż do samej wody i pokazać się nieprzyjacielowi. Wówczas Pa-Utesi, zamknięci przez dwa oddziały, będą musieli się poddać, jeśli nie zechcą wszyscy polec, ponieważ znajdą się pomiędzy wysokimi, gładkimi ścianami kanionu, gdzie nie mogą się ukryć. Wojownicy Nawajów, osłonięci przed strzałami, będą im zagrażać zewsząd. Będą bowiem ukryci za skalnymi blokami. Czy mój brat zrozumiał?

Znowu odpowiedziało mu skinienie.

- Niech więc natychmiast siada na koń i szybko rusza do swoich!

W kilka chwil później młody Nawaj, nie wymówiwszy ani słowa, odjechał. Po czym i my dosiedliśmy rumaków i pomknęliśmy w kierunku San Juan, którego wybrzeża

znaliśmy obaj bardzo dobrze. A gdybyśmy nawet nie znali, to Hammerdull i Holbers byliby wyśmiewanymi przewodnikami. Na Fiechtera nie zwracaliśmy najmniejszej uwagi, tak, jak gdyby go wcale nie było. On jednak po chwili namysłu, pojechał za nami.

\*

\* \*

Winnetou, podobnie jak i ja, był przeświadczony, iż Pa-Utesowie przebywają jeszcze w miejscu, gdzie napadli na białych. Jednakże przez ostrożność nie obraliśmy prostej drogi, którą ewntualnie po-dążać mieli do Nawajów, bo mogło się zdarzyć, iż wyruszyli w drogę wcześniej, niż sądziliśmy, lub też że wysłali nowych zwiadowców.

Pojechaliśmy więc na wschód. Drugiego dnia w południe, kiedy stanęliśmy na takiej samej wysokości, na jakiej znajdował się obóz, pojechaliśmy dalej, aby następnie skrócić na lewo i zbliżyć się do miejsca ich postoju z północy. Było rzeczą pewną, że czerwoni nie spodziewali się wroga z tej strony. Wszakże musieliśmy być przezorni, gdyż tak liczny oddział potrzebuje wiele mięsa, toteż zapewne sporo wojowników udawało się na polowanie.

Dotarliśmy do rzeki daleko w dole jej biegu i rozłożyliśmy się obozem w pobliżu małej polany, zewsząd okrażonej zagajnikiem. Teraz należało się zająć Pa-Utesami i ich jeńcami. Było to przedsię-wzięcie trudne i niebezpieczne. Ofiarowałem się do roli zwiadowcy, Winnetou jednak chciał iść sam, wobec czego musiałem ustąpić. Skoro się oddalił, poczęliśmy zacierać ślady kopyt końskich.

Zmuszony byłem udzielić upomnienia Old-Cursing-Dry. Wprawdzie niechętnie z nim rozmawiałem, ale niechęć musiała ustąpić, skoro w grę wchodziły nasze głowy. Jechał wciąż za nami, a kiedy

21

zeskoczyliśmy z koni, poszedł za naszym przykładem i położył się opodal w trawie. Od wczoraj nikt z nas nie odezwał się do niego ani słowem. Widać było, że jest na nas w najwyższym stopniu rozdrażnio-ny. Może nawet knułw duszy zemstę. Gdyby między jeńcami nie było jego syna i bratanka, mógłbym przypuścić, że zamierza nas wydać w ręce Indian. Kto mógł wiedzieć, jakie myśli i rachuby zaprzętały jego mózg! Dlatego uważałem za stosowne przełamać uporczywe milcze-nie. Musiałem się z nim rozmówić, podszedłem więc do niego i zapytałem:

— Jechał pan za nami od wczoraj Flechter, chociaż pana o to nie prosiliśmy. Zdaje się, że pan nadal zamierza dotrzymać nam towarzy-stwa. Czy tak?

— To nie pana sprawa!— brzmiała odpowiedź.

— Sądzę, że to nas bardzo obchodzi i upominam pana, abyś mówił do mnie innym tonem. Nie zwykłem wysłuchiwać grubiaństw bez odpowiedniej reakcji! Widział pan i słyszał, że nie chcemy o panu nic wiedzieć, jeśli mimo to jedziesz za nami i obozujesz wraz z nami, to moglibyśmy ostatecznie znieść to, o ile według naszego przekonania nie narazisz nas na szkodę.

— Na szkodę? — parsknął złośliwie. — Pshaw\ Warn już nic nie może ani pomóc, ani zaszkodzić!

Ledwie zdążył to powiedzieć, zerwałem z najbliższego krzewu gałązkę grubości palca, zdarłem z niej liście i smagnąłem go kilkakrotnie przez twarz.

— Tak! Kto nie chce słuchać, ten poczuje. Nauczę cię uprzejmości!

Wydał nieartykułowany okrzyk wściekłości, podskoczył i wyrwał rewolwer, aby we mnie wycelować, ale, nim zdążył skierować lufę, uderzyłem go po ramieniu tak, że broń upadła na ziemię i natychmiast walnąłem go pięścią w skroń. Runął jak kłoc. Gruby Hammerdull stał już przy mnie i zawołał zachwycony:

— Hergh-day\ Nareszcie, nareszcie widzę słynne uderzenie Shat-terhanda! Thank you, sin Drab się dograł. Czy go nie spętamy

22

odrobinę, aby po oprzytomnieniu nie palnął jakiegoś głupstwa?

— Dobrze! Kilka rzemieni dokoła nóg i rąk nie zawadzi.

— Podejdz tu, Pitt Holbers, stary cooniel Ozdobimy chude gnaty tego Old Cursing-Dry pół tuzinem skromnych kokardek. A może myślisz, że nie?

Pitt podszedł z uśmiechem na twarzy i odpowiedział jak zwykle:

— Jeżeli sądzisz, że tak przystoi, możemy to zrobić, stary Dicku!

— Czy zrobimy, czy nie zrobimy, to wychodzi na jedno, ale w każdym razie będzie to zrobione.

Nie tylko go spętali, ale również przywiązali do tęgiego krzewu, aby nie mógł ruszyć się z miejsca. Skoro skończyli, Dick otarł ręce i rzekł z zadowoleniem:

— Przy panu zupełnie inaczej się żyje, sir! Zajeżdżamy szkapy od miesiący, a nie zdarzyło się nic godnego uwagi, ledwo zaś pana spot-kaliśmy, a już tkwimy po szyję w przygodach.

— A przedwczorajszy napad? Czy to nie była przygoda? — zapyta-łem.

— Była dla innych, nas ominęła. W ciągu jednego tygodnia przeży-wa się z wami więcej, niż z kimś innym w ciągu roku. Znana to rzecz. Teraz trzymamy mocno starego przeklętnika i możemy o czymś innym pomyśleć. Co pan powie o potrawie z ryb? Nasze mięso już prawie na wyczerpaniu.

— Czy macie wędkę?

— Co za pytanie? Co też panu po głowie się błąka, sir! Jest Dick Hammerdull, a nie ma wędek? Spytaj pan raczej, czy w naszej miłej San Juan znajdziemy ryby. A może chcesz wyłowić i wysmażyć pijawki, Pitt Holbers, stary wonie?

— Hm! Jeśli myślisz, że są tak tłuste jak ty, to można. Milsze mi jednak ryby, żołądek mój nie zniósłby dzisiaj pijawek.

Tak długą mowę rzadko kiedy wygłaszał Pitt Holbers: ta jednak wysławiała jego ulubioną potrawę! Mogłem ich na szczęście zapewnić,

iż połów będzie pomyślny. Poszli więc nad brzeg i tam się schowali,

23

aby nie spostrzegł ich jakiś przypadkowy Pa-Utes. Wyciągnąłem się w trawie i zamknąłem oczy, aczkolwiek nie byłem zmęczony. O śnie nie mogło być mowy, skoro oczekiwałem Apacza. Prawdziwy jednak westman, kiedy leży zwykł przymykać oczy, gdyż wówczas słuch ma znacznie bardziej wyczulony.

Upłynęła może godzina, kiedy wreszcie obaj wędkarze wrócili. Połów był tak obfity, że mógł starczyć na obiad i wieczerzę. Niestety, nie mogliśmy zapalać ogniska przed przybyciem Winnetou, ponieważ nie byliśmy pewni bezpieczeństwa. Nos Indiański wyczuwa z daleka zapach ogniska, a jeszcze dalej zapach pieczonego mięsa czy ryb. Czas mijał, nadeszło południe. Upłynęły jeszcze dwie godziny, obaj przyjaciele niepokoiłi się o Apacza. Aby ich uspokoić, musiałem im uprzytomnić, jak wielka odległość dzieli nas od obozu, Old Cursing-Dry już dawno ocknął się z omdlenia, ale oczy miał zamknięte i nie poruszał się. Nam było to tylko na rękę. Wreszcie zaszemrało coś w zagajniku. Ukazał się Winnetou. Twarz jego była równie nieruchoma jak poprzednio, ale znałem go zbyt dobrze, abym miał nie poznać, że przynosi dobre wieści. Skoro zobaczył ryby, objaśnił nam sytuację na swój sposób. Nie mówiąc mi słowa, poszukał trawy, zgarnął ją, wyciągnął punka i podpalił zielsko. Dick Hammerdull zrobił wesołą minę, trącił łokciem Pitta Holbersa i rzekł:

— Wszystko zdaje się być w porządku, możemy spokojnie smażyć nasze pijawki. Co o tym myślisz, Pitt Holbers, stary coonie?

— Jeśli myślisz, że cieszy mnie z góry przysmak, to masz słuszość, stary Dicku.

Podzielono ryby na dwie porcje, jedna była przeznaczona do naty-chmiastowego spożycia, druga pozostawała na wieczerzę. Potem każdy dostał swoją część, nawet Rechter.

Winnetou widział, że stary przeklętnik jest spętany, ale nie pytał o powód. Podobnie i ja nie pytałem go o wynik zwiadu, albowiem wiedziałem, że sam wszystko opowie, kiedy uzna za stosowne. Natomiast dwaj pozostali towarzysze nie mogli usiedzieć cierpliwie. Dick

24

Hammerdull, ledwo przełknął ostatni kęs, wytarł usta zatłuszczonym do połysku rękawem i rzekł:

— Tak, teraz jesteśmy syci i możemy pomyśleć o Pa-Utesach. Mam nadzieję, że jeszcze nie wyruszyli?

Ponieważ Winnetou nie odpowiadał, Dick dodał:

— A może się myślę i wrogowie już opuścili obóz?

Łagodny uśmiech drgnął na męskiej twarzy Apacza, kiedy odpowiedział wymijająco:

— Rosa spada w swoim czasie, a słońce świeci w swoim. Dlaczego brat mój nie czeka, aż nadejdzie pora opowiadania?

- Po prostu dlatego, że jestem ciekaw, — odpowiedział grubas z komiczną szczerością.
- Sgiiaw może być ciekawa, a nie mężczyzna, tym bardziej, kiedy jest takim wojownikiem jak Dick Hammerdull. Jednakże ciekawość mego brata zostanie zaspokojona. Pa-Utes jeszcze nie wyruszyli.
- Gdzie są?
- W obozie, na który uprzedniego dnia dokonali napadu. Winne-tou zliczył ich dokładnie. Jest tam dwakroć po stu mężczyzn i sześć-kroć po dziesięciu. Przywodzi im Pats-avat, wódz Pa-Utesów.
- A jeńcy?
- Leżą spętani, ale zdrowi i cali. Uwolnimy ich tej nocy.
- Uwolnimy? — spytał grubas z radosnym zdziwieniem. — Sądzi-łem, że lepiej będzie poczekać z tym, póki Pa-Utesi nie wpadną w ręce Nawajów, wówczas biali i tak będą wolni.
- Winnetou wierzy, że jego biały brat się myli. Kiedy zamkniemy Pa-Utesów w kanonie, nie uwolniwszy uprzednio jeńców, to wrogo-wie będą mogli nam stawiać warunki i grozić, że zabiją białych. Jeśli zaś ci będą już wolni, wrogowie będą zmuszeni przystać na wszystkie nasze warunki.
- Słusznie, zupełnie słusznie! Ja także wolę, abyśmy już dzisiaj uwolnili naszych przyjaciół, gdyż będzie to nie lada fortel. Ale w jaki sposób to zrobimy?

25

- Brat mój dowie się w stosownej chwili. Winnetou podsłuchał rozmowę Pa-Utesów. Dowiedział się, dlaczego jeszcze nie wyruszyli i w jakich okolicznościach napadli na białych. Między dwoma zabitymi jest syn wodza, uroczystość pogrzebowa potrwa zatem do jutra rano. Grób jego bowiem musi być bardzo wysoki. Jeszcze po północy będą musieli nad nim pracować. Wódz jest wściekły i być może, zabije jeńców, aby ich dusze obsługiwały jego syna w Wiecznych Ostępach.
- Well, to mi się nie podoba! <
- Byłaby to tylko zemsta, której czerwonych nauczyli biali. Byłaby to tylko kara, tym bardziej sprawiedliwa, że podwójnie ugodziłaby w mordercę, którego syn i bratanek znajdują się pomiędzy jeńcami.
- A więc to jednak Old Cursing-Dry?
- T&k.

Flechter leżał na tyle blisko, aby słyszeć każde słowo. Oczy otwo-rzył, gdy dawano jeść. Usłyszawszy teraz ostatnie słowa Apacza, za-wołał:

- To nie ja: nie mam o tym najmniejszego pojęcia. Te pieprzone łotry są najniegodziwszymi draniami jacy istnieją na świecie. Przysię-gam na diabła, że mówię prawdę!

Winnetou nie zwrócił na tę odpowiedź uwagi i kontynuował:

— Pa-Utesi nie zamierzali właściwie tam obozować. Nie odkryliby obecności białych, gdyby nie dokonano morderstwa. Syn wodza wraz z dwoma innymi wojownikami wyprzedzali oddział, gdy nagle z zasa-dzki padły szybko jeden po drugim dwa strzały i syn wodza zwałił się z konia martwy, a wraz z nim jeden z towarzyszy. Kule przebiły im głowy.

— Czy to dowód, że ja ich zabiłem? — ryknął wściekle Flechter.

Winnetou zwrócił się do Hammerdulla i Holbersa:

— Jeśli ten człowiek jeszcze raz ośmieli się podnieść głos, to niech moi bracia wsadzą mu knebel do ust i zwiążą go. Następnie rzucimy go do rzeki, aby powoli zatonął.

Po chwilowej przerwie wrócił do watka rozmowy:

26

— Drugi Pa-Utes który uszedł cało, skierował konia ku miejscu, skąd padły strzały. Wówczas ujrzał jeźdźca. Ponieważ niezupełnie się jeszcze ściemniło, mógł dokładnie obejrzeć tego człowieka i jego rumaka. Jeździec nosił na głowie słomkowy kapelusz, a pod nim chustkę, jaką często noszą kowboje. Niestety, wojownik nie mógł go doścignąć. Koń napastnika był ciemnej maści, na boku z prawej strony miał jasną plamę. Moi bracia wiedzą kto nosi taki kapelusz i taką chustkę i czyj rumak ma taką jasną plamę. Winnetou wie to dokładnie z rozmowy dwóch Pa-Utesów.

Oczywiście, wszystkie te oznaki dotyczyły Flechtera. Mimo to ważył się zaprzeczać i syknął ze złością:

— Kłamstwo, czysta blaga! Co taki czerwony bydlak powiada, nie ma żadnej wartości. Przysięgam na diabła, że jestem niewinny. Apacz mówił dalej zimnym, dobitnym głosem:

— Czy bracia moi przypominają sobie słowa, jakimi ten człowiek przy spotkaniu z nami wyraził się o Indianach, chociaż wiedział, iż ja sam jestem czerwonym? Ile stów powiedział, tylu jest świadków i sędziów przeciwko niemu, on a nikt inny jest zabójcą, chociaż przy-sięgał, że nim nie jest!

Old Cursing-Dry szarpnął więzami i krzyknął:

— A ja ponawiam swoją przysięgę przy wszystkich diabłach. Nie-chaj oślepnę, niechaj kości mam zmiążdżone, jeśli jestem zabójcą! Jesteście tak głupi, że...

Nie mógł dokończyć, bo ja już klęczałem przy nim. Trzymając go prawą ręką mocno za gardło, lewą urwałem mu z poły kawał sukna i zgmiotłem w pięści. Nacisnąłem mocno na krtań, a wówczas usta jego rozwarły się szeroko. Po chwili knebel tkwił mocno. Hammerdull postarał się o drugą szmatę, którą zawiązał Flechterowi usta, aby nie mógł językiem wypchnąć knebla. Teraz, zabezpieczeni przed jego elokwencją, wróciliśmy na swoje miejsca.

Długo siedzieliśmy w milczeniu, każdy znał myśli i uczucia swych

towarzyszy. Co mieliśmy począć z tym człowiekiem? Zwrócić mu

27

wolność, to znaczy wy<sup>ci</sup>ć wściekle, dzikie zwierzę. Wydać go Pa-Utesom? Tak, zasłużył <sup>o</sup> (o, gdyż on był zabójcą i tylko śmierć mogła go unieszkodliwić.

Winnetou położył n<sup>ę</sup> <sup>ę</sup> na ramieniu i rzekł, jak gdyby czytając w moich myślach:

— Niech brat mój n<sup>ę</sup> <sup>ę</sup> wątpliwości. Jeśli mu żal nawet tak złego człowieka, to wódz A<sup>z</sup>ów sam będzie sędzią. Old Cursing-Dry zostanie wydany Pa-Ut<sup>m</sup>.

Powiedziałem. Howgh\

— Czy uważasz mni, <sup>ę</sup> słabego?

— Nie, ale za sentymentalnego.

— Masz rację, nawe<sup>ę</sup> <sup>ę</sup> człowiek budzi we mnie litość, choć nie jego ciało, lecz dusza.

— Nie troszcz się o niego- Czy masz władzę otwierania mu oczu?

Jeden, jedyny tylko pojada ową moc, a mianowicie wielki, dobry Manitou.

Nauczyłeś n<sup>ę</sup> <sup>ę</sup> zawierać mu we wszelkich okolicznościach życia. Czy sam sk, temu sprzeniewierzyłeś? Ziemskie życie tego bluźniercy i zabójcy podpada pod

nieubłagalne prawa prerii, ale dusza jego należy do Manitoi<sup>ę</sup> odtąd nie będzie

naszym towarzyszem, lecz jeńcem, którego mamy <sup>ę</sup> Pa-Utesom. Dlatego nie

powinien być świadkiem naszych roz<sup>ę</sup> — j dodał już półgłosem. — Winnetou powie

wam teraz, w jaki; sposób zdołamy uwolnić ośmiu jeńców. Dick Hammerdull i Pitt

Hol<sup>ę</sup>rs znają miejsce, gdzie obozują Pa-Uteso-wie. Rozciąga się tam r<sup>ę</sup>(y półwysep,

połączony z brzegiem wąskim przesmykiem. Na tym półwyspie umieszczono

jeńców, ponieważ jest to najbardziej bezpieczl-g miejsce.

— Znam ten półwysep <sup>ę</sup> skinął Hammerdull. — Chcieliśmy tam rozbić obóz, ale zrezygnowaliśmy z powodu obfitości komarów. Brze-gi są zarośnięte krzewal—j

— To nam jest na r<sup>ę</sup>Jeńcy są spętani i o ucieczce drogą wodną nie można marzyć. Dlatego wystarczy jeden strażnik, stojący na prze-smyku. I jeśli nawet byl:jj <sup>ę</sup> ostrożni, że wystawili dwóch, czy trzech wojowników i to nie sładzi.

Możemy ich unieszkodliwić w ciągu

minuty.

— WeW. Jestem przeświadczony, że sam dam radę więcej niż trzem strażnikom, równie szybko przetniemy więzy jeńców, ale co później? Na brzegu obozuje przeszło dwustu pięćdziesięciu Indian, pomiędzy którymi nie będziemy mogli się przekraść.

— Nie mam tego zamiaru, ponieważ umkniemy wodą.

— Hm! Czy nie łatwiej to powiedzieć, niż wykonać? Jestem wpraw-dzie pewny, że wszyscy jeńcy umieją pływać, jednak przez pewien czas nie będą mogli poruszać członkami, ponieważ długo leżeli w pętach. Niepodobna też, aby wszyscy pływali równie szybko, dlatego oddalimy się od siebie, a później trzeba będzie czekać na wolniejszych.



- Mój biały brat nie zwrócił uwagi na moje słowa, powiedziałem, że umkniemy wodą a nie w wodzie. Nie popłyniemy, lecz zbudujemy tratwę. Jeśli ktoś będzie musiał płynąć, uczynimy to my, ja i Old Shatterhand.
- Ach, tratwa! Ale tratwa, która ma zmieścić osiem osób, musi być tak duża, że Indianie bezsprzecznie ją zobaczą, mimo że dziś nów i w nocy będzie bardzo ciemno. Jak sądzisz, Pitt Holbers, stary coonie\
- Jeśli myślisz, że dziś jest nów, to masz słuszność, stary Dicku, —brzmiała odpowiedź — jednak Winnetou wie dobrze, czego chce.
- Czy wie, czy nie wie, to na jedno wychodzi, ale nie zmienia postaci rzeczy. Ja także jestem nazjupelniej przeświadczony, że musi mieć jakiś dobry pomysł. Co pan o tym sądzi, mister Shatterhand?
- Domyślam się zamiaru naszego czerwonego brata. Tratwa —odrzekłem — powinna ujść niepostrzeżona. A Pa-Utesowie, gdyby zostali na wybrzeżu, ujrzeliby ją niechybnie, dlatego przypuszczam, że Winnetou zamierza ich odciągnąć.
- Mój brat odgadł słusznie — skinął Apacz. — Trzeba wywabić Pa-Utesów.
- Ale w jaki sposób? — zapytał Dick Hammerdull
- Za pomocą ogniska.
- Dobrze! Ale gdzie je rozpalimy? Nie możemy podpalić lasu.

29

- Las jest święty dla wodza Apaczów. Nie powinien zginąć. Ale musimy podpalić coś, co jest święte dla Pa-Utesów, aby ich przerazić. Inaczej nie opuszczą obozu.
- Jestem naprawdę ciekaw, co Winnetou wybierze na spalenie?
- Nowy grobowiec.
- Świetnie! „fa myśl jest warta dziesięciu tysięcy dolarów! Jednak grobowiec nie zapali się, bo jest kamienny!

Nie trzeba wcale spalić samego grobowca, skoro zgromadzimy na nim trochę trawy i chrustu, a następnie podłożymy ogień, czerwoni przerażą się i pośpieszą na ratunek.

- Tak, lecz dopiero go wznoszą, a więc musimy czekać. A nawet później będzie to dosyć niebezpieczne, gdyż wrogowie zostawią tam strażników.
- Mój brat Dick Hammerdull niech sobie uświadomi zwyczaje czerwonych narodów! Skoro grobowiec będzie gotów, złoży się nie-boszczyka i wszyscy się wycofają oprócz ojca. Trzeba go bowiem zostawić samego, aby mógł zaintonować pieśni, które tylko dusza zamordowanego powinna wysłuchać.
- Czy zabijemy go?
- Nie, Old Shatterhand i Winnetou nie zabijają nikogo chyba, że zmuszają ich do tego okoliczności. Dostanie uderzenie od Old Shat-terhanda, aby milczał. Ponadto nic mu się złego nie stanie.
- Ale nie możemy jednocześnie znajdować się przy grobowcu i na tratwie! Czerwonoskórzy zgaszą ognisko, zanim będziemy gotowi, a wówczas nasz plan będzie pod znakiem zapytania.

- Dick Hammerdull niech się nie martwi. Wszystko będzie w porządku. Tak dokładnie obliczymy czas, aby powodzenie było pewne. Teraz przystąpimy do pracy i sklecimy tratwę, musi być gotowa, nim zacznie zmierzchać.
- Czy jesteśmy pewni, że nikt nas nie będzie obserwował?
- Winnetou wie dobrze, że Pa-Utesowie nie przybędą tutaj.
- Przybędą, czy nie, to na jedno wychodzi. Ale zawsze to lepiej,

30

jeśli się nie dowiedzą, że tu jesteśmy i z jakim nosimy się zamiarem. Zawsze i we wszelkich okolicznościach jest lepiej, jeśli staje się to, co jest najlepsze. Jak myślisz, Pitt Holbers, stary cooniel

- Jeśli myślisz, że lepiej jest lepiej, drogi Dicku, to ani mi się śni mieć coś przeciwko temu. — odparł Pitt.

Zaczęliśmy ścinać cienkie konary, robota z powodu braku narzędzi szła powoli, ale cicho i sprawnie. Nie brakło również świeżych, giętkich witek do wiązania drewna. Zanim upłynęły dwie godziny, mieliśmy gotową tratwę. Sporządziliśmy dwa stery, na przedzie i z tyłu, a poza tym cztery wiosła, aby w razie potrzeby płynąć szybciej, niż prąd.

Następnie zabrano cztery wiązki suchego drewna oraz trawy i złożono na tratwie. Teraz trzeba się było zająć końmi, musieliśmy je gdzieś bezpiecznie ulokować. Znajdowaliśmy się, jak już rzekłem, nad obozem Pa-Utesów, wypadało więc płynąć na tratwie wciąż naprzód, po uwolnieniu jeńców, po czym skierować się do drugiego brzegu, aby wrogowie ścigając nas, musieli się przeprawić przez rzekę. Dlatego należało ukryć konie w odpowiednim miejscu, za obozem wrogów. Oczywiście, dotyczyło to także Old Cursing-Dry.

Przeprawiliśmy konie tratwą na drugi brzeg. Hetchera przytroczyliśmy do jego siodła. Pitt Holbers musiał zostać przy tratwie. Pojechaaliśmy następnie wzdłuż rzeki, nie przy brzegu, lecz w takiej odległości, że mogliśmy być pewni, iż nikt nas nie zauważy.

Aby wykorzystać światło dzienne, jechaliśmy galopem. W pół godziny później od obozu dzieliło nas zaledwie pół mili. Prowadził stąd mały, ciasny, zadrzewiony wąwóz. Przywiązaliśmy konie do drzew, jak również jeńca, aby nie mógł się uwolnić. Nie tając wściekłości, kopał nas nogami, nim spętaliśmy go ponownie. Gdyby nie knebel, obrzuciłby nas na pewno całą serią przekleństw.

Byliśmy zmuszeni zostawić go samego bez nadzoru i udać się z powrotem pieszo. Tymczasem zapadła noc, mrok nam nie przeszkadzał, wkrótce wróciliśmy do Pitta Holbersa.

Stanęliśmy na tratwie i ruszyliśmy. Ja zająłem się tylnym sterem,

31

Winnetou stał koło przedniego, szeptem rzucając mi komendy. Było tak ciemno, izgreenhom nie ujrzałby nawet własnej ręki przed oczami, ja jednak mogłem

rozdzielić każde drzewo na brzegu, a Winnetou na pewno widział lepiej ode mnie. Dick Hammerdull i Holbers siedzieli pośrodku tratwy i polegali na nas. Pa-Utesowie obozowali po lewej stronie rzeki, dlatego trzymaliśmy się blisko prawego brzegu. Prąd był silny. Płynęliśmy więc szybko. Skoro Winnetou uznał, że zbliżyliśmy się dostatecznie do obozu, wylądowaliśmy na lewym brzegu w miejscu, gdzie można było ukryć tratwę między zwisającymi gałęziami. Winnetou oddalił się na przespiergi. Wrócił po dwóch godzinach i zameldował, że sytuacja jest pomyślna. Grobowiec będzie skończony około północy i od tej chwili tylko wódz będzie się tam znajdował. Budowla wznosi się w oddaleniu niespełna trzystu kroków od obozu. Apacz dotarł prawie (do samego półwyspu, aby później pewnie i dokładnie kierować tratwą.

### **Leżeliśmy cicho wśród gęstych krzaków, aż do północy. Naraz**

Winnetou szepnął:

— Niech mój brat wyjmie lont z ładownicy.

Nasza robota miała się rozpocząć. Żaden westman nie zapomina zaopatrzyć się w kłębek cienkiego sznurka lontowego. Odciąłem spory kawałek tego sznura i włożyłem do kieszeni, aby go mieć pod ręką. Następnie opuściliśmy tratwę, dzwigając cztery wiązki trawy i chrustu. prowadził Winnetou. Poszliśmy na lewo do lasu. Apacz szukał miejsc rzadziej porośniętych, łatwiej dostępnych. Przed nami ujrzeliśmy niebawem ognisko obozowe, a na lewo światło małego płomienia przy grobowcu. Nieco później rozpoznaliśmy przy nim Pats-avata, wodza Pa-Utesów, siedzącego samotnie nad ciałem syna. Wkrótce usłyszeliśmy jego pieśń. Ułożyliśmy wiązki. Dick i Pitt musieli pozostać, ja i Winnetou podkradliśmy się prawie aż do pleców wodza, Winnetou wystąpił naprzód. Pats-avat spojrział. Zobaczywszy Apacza, podsko-czył i zawołał przerażony: • !

32

— Uff! Winnetou, wódz Apaczów!

Tamten podniósł rękę, wskazał na mnie i rzekł:

— Tak, to ja. A tu oto stoi mój biały brat i przyjaciel, Old Shatter-hand.

Pa-Utes odwrócił się szybko, wytrzeszczył na mnie oczy. Otworzył usta, aby zawołać na pomoc, gdy uderzony moją pięścią, runął, tracąc przytomność. Teraz Hammerdull i Holbers szybko przynieśli chrust. Zasypaliśmy nim grobowiec, założyliśmy lont i zapaliliśmy go i oddaliśmy się z taką szybkością, że nie minęła minuta, kiedy znowu staliśmy na tratwie. Odwiązaliśmy ją i ruszyliśmy blisko brzegu, wio-słując bardzo powoli.

Rozjaśniło się przed nami, zobaczyliśmy ognisko, a w jego świetle półwysep. Tymczasem na lewo w lesie, powstała łuna, która zwróciła uwagę Pa-Utesów. Słyszeliśmy ich okrzyki i ujrzeliśmy, że wielu po-biegło do grobowca.

— Zaczyna się! — rzekł Winnetou. — Trzymajcie strzelby w pogotowiu, a także noże, aby szybko przeciąć więzy jeńców.

Naraz z lasu doleciał głośny, przeraźliwy okrzyk:

— Neaw-akwe, neaw-akwe\ Wódz nie żyje, wódz nie żyje!

Wszyscy zerwali się z miejsc i pomknęli do lasu. Widzieliśmy wyraźnie, że również dwaj czerwoni z półwyspu przyłączyli się do biegnących.

— Szybko wiosłujcie do półwyspu! — poleciłem. — Holbers zostanie na tratwie, aby ją utrzymać!

Tratwa pomknęła z szybkością łodzi. Ledwie uderzyła o brzeg, gdy Winnetou, Hamerdull i ja skoczyliśmy na ląd. Zahaczyliśmy trzeciego wartownika, który nie opuścił posterunku. Spoglądając w kierunku lasu, do nas był odwrócony tyłem. Usłyszawszy szmer, odwrócił się...

Zobaczył nas, krzyknął i wycelował w Winnetou. Skoczyłem doń i uchwyciłem za strzelbę. Nie mogłem zapobiec wystrzałowi, który na całe szczęście chybił. Wyrwać mu broń z ręki, odwrócić ją i uderzyć go kolbą w głowę — to było dziełem jednej chwili. Następnie ruszyłem

### 3 — Niebezpieczne szlaki

33

ku jeńcom. Po minucie wszyscy byli wolni i siedzieli na tratwie. Skoczyliśmy za nimi, złapaliśmy za wiozła i skierowaliśmy tratwę ku przeciwnemu brzegowi. Stało się to o wiele szybciej i wypadło pomyślniej, niż przewidywaliliśmy. Tymczasem jednak wystrzał i krzyki nie przebrzmiały bez echa, czerwoni biegli z powrotem do obozu. Zobaczyli, co się święci, gdyż padło na nas właśnie światło ogniska i podnieśli straszliwy wrzask.

Lecz po chwili zapanował nad wrzaskiem silny głos Winnetou:

— Pats-avat, wódz Pa-Utes, nie jest martwy, ocknie się wkrótce, albowiem Old Shatterhand oszołomił go tylko. Uwolniliśmy białych jeńców i nawet tysiące Pa-Utesów nie zdołają ich odzyskać. Howgh!

Wrzask wzmógł się. Padły strzały, nie trafiły nas jednak, gdyż płynęliśmy w ciemnościach. Długo jeszcze słyszeliśmy głosy wrogów, którzy biegali po brzegu, nie mogąc nic złego nam zrobić. Uwolnieni i ocaleni biali dowiedzieli się ze słów Apacza, komu zawdzięczają życie. Chcieli wyrazić swoją wdzięczność, jednak Winnetou nakazał im milczenie:

— Cicho, nie jesteśmy jeszcze pewni. Kto wie, czy wszyscy macie się z czego cieszyć. Upłynie krótki czas, a odbędzie się sąd, który może mieć poważne następstwa. Powiedziałem. Howgh!

Winnetou stał przy przednim sterze, skierował teraz tratwę ku prawemu brzegowi, ponieważ znajdowaliśmy się w pobliżu miejsca, gdzie umieściliśmy konie i Flechtera. Ośmiu uwolnionych sądziło, że mają wysiąść, lecz Winnetou rzekł!

— Zostańcie na miejscu! Popłyniemy dalej!

— Czemu więc przybijacie tutaj, skoro nie wylądujemy? — zapytał jeden z uwolnionych.

— Ponieważ zostawiliśmy tu konie.

— Otóż to! A my nie mamy wierzchowców! Do pioruna! Czy nie mieliście czasu, czy też ochoty uwolnić i naszych koni? Jesteśmy bezbronni. Jakże poradzimy sobie na Dzikim Zachodzie, nie posia-dając ani strzelb, ani noży! Do licha, powinniście o tym pomyśleć!

Nastąpiła krótka pauza, po czym Apacz zapytał;

— Czy ten młody, biały człowiek, który teraz mówił, nie nazywa się Rechter?

Znałem dobrze ton, jakim wypowiedział to pytanie. Używał go w stosunku do ludzi, dla których odczuwał pogardę, a nie chciał im okazać swego gniewu.

— Tak — odpowiedział zapytany.

— A więc jest synem starego, zwanego Old Cursing-Dry?

— Do tysiąca diabłów! Kto pozwala sobie na tę obelgę?

35

— Winnetou pozwala sobie i chciałby zobaczyć człowieka, który by się ważył mu tego zabronić!

— Ja się odważę! To przezwisko jest obelgą, której nie mogę ścierpieć! A w ogóle gdzie jest mój ojciec? Nie było go przy nas kiedy nastąpił napad, a więc jest wolny. Nie chcę przypuszczać, messurs, że nas stąd wyprowadzacie, mego ojca wystawiając na sztych. W takim razie pieprzę was i przysięgam wam, że...

— Stój! — przerwał mu Winnetou. — Żadnej przysięgi i żadnego przekleństwa więcej! Nie zniesiemy tego! Stary Flechter jest bezpie-czy i jutro się z wami zobaczy. Moglibyśmy pomyśleć o odbiciu waszych rumaków i broni tylko w tym wypadku, gdybyśmy nie mieli ani śladu mózgu w głowie. Winnetou powie, wam co nastąpi. Pa-Ute-sowie będą nas ścigać. Zwabimy ich do pułapki, a wówczas będą musieli wydać wam wszystko, co zabrali. Wojownicy bowiem Nawa-jów czatują już na nich. Kto nie ma konia, ten będzie musiał pozosta-wać na tratwie, dopóki nie dotrzemy do celu. Rzeka zakreśla stąd wielki łuk, prowadzący do miejsca, zwanego przez czerwonych Sitsu-to, Żółta Woda. Czy mój brat Shatterhand dobrze pamięta to miej-sce?

— Tak — odpowiedziałem. — Jeśli zaraz wyruszymy stąd, przybę-dziemy na miejsce skoro świt.

— Słusznie. My tratwą, przybędziemy później. Mój brat Shatter-hand rozporządza czterema rumakami. Niechaj wraz z Hammerdul-lem, Pittem Holbersem i jednym

z ich czterech towarzyszy pojedzie konno do Sitsu-to, aby tam nas oczekiwać. Co nastąpi dalej, to się okaże.

Uwolniliśmy ośmiu jeńców czterech towarzyszy Hammerdulla i Holbersa i starego Flechtera. Hammerdull wybrał sobie towarzysza, skoczyliśmy na ląd, a tratwa natychmiast odbiła. Była to niemała odwaga ze strony Winnetou, iż pojechał w towarzystwie czterech takich ludzi, jak młody Flechter. Z jego sposobu wyrażania się można było wnosić, że niedaleko padło jabłko od jabłoni.

36

Wraz z towarzyszami znaleźliśmy się wkrótce w wąwozie, gdzie zostawiliśmy konie. Zastaliśmy wszystko w porządku. Old Cusing-Dry, jak znać było, usiłował rozerwać więzy, ale daremnie. Wsadziliśmy go na koń i przytroczyliśmy do siodła. Towarzysz Hammerdulla był zdziwiony, że w ten sposób obchodzimy się z Flechterem. Wyjaśniono mu to w krótkich słowach. Następnie dosiedliśmy wierzchowców. Oddalając się od rzeki mknęliśmy po równinie, aby prostą linią przeciąć łuk Rio San Juan. Nie było tu osłony listowia nad nami i przy blasku gwiazd nie mogliśmy zmylić drogi.

Jechałem na czele, prowadząc za uzdę rumaka Fletchera i nie zwracałem uwagi na rozmowę trzech towarzyszy. Tematem jej były zdarzenia, które się rozegrały. Skoro noc zaczęła szarzeć, zobaczyliśmy w oddali zieloną krechę, okalającą wybrzeże, niebawem dotarliśmy do rzeki. Tu zsiadliśmy, oczekując przybycia tratwy. Oczywiście, przywiązaliśmy Flechtera. W drodze miał cały czas założony knebel z litości teraz go wyjąłem. Ledwo jednak to uczyniłem, obrzucił nas straszliwym potokiem przekleństw. Zagroziłem, że zaknebluję go znowu, a na dodatek każę wysmagać. To poskutkowało.

Mieliśmy jeszcze sporo ryb, których poprzedniego dnia nie usmażyliśmy. Teraz mogliśmy śmiało rozpaść ognisko i z zaniechanej kolacji przyrządzić śniadanie. Flechter dostał swoją część. Podczas posiłku Hammerdull chciał zadać pytanie, które mu dotychczas ciążyło na sercu. Mrugnięciem nakazałem mu milczenie, gdyż nie chciałem, aby Flechter słyszał o naszych zamiarach. Po posiłku zakneblowałem z powrotem starego przekleśnika i umieściłem wraz z koniem w przyzwoitym oddaleniu. Wówczas grubas nie mógł się już powstrzymać i wypalił:

— Dlaczego Flechter nie może tu zostać, mister Shatterhand?

Dlaczego kazał go pan umieścić w zagajniku?

— Syn jego, kiedy wyląduje, nie powinien go zobaczyć, gdyż targnąłby się na nas, natomiast, jeśli o niczym się nie dowie, będzie się

37

spokojnie zachowywał.

— Well, rozumiem. Ale mam jeszcze sto pytań, które...

— Które pan najlepiej zachowaj dla siebie! — przerwałem mu. —

Bierz pan za wędkę i zobacz, czy są tu ryby. Winnetou i jego towarzysze przybędą wygłodzeni. Tymczasem chcę wam tylko to powiedzieć, że Pa-Utesowie,

oczywiście, będą nas ścigać lądem i wodą. Ponieważ w ciemnościach nie mogą zobaczyć naszych śladów, muszą czekać świtu, wykorzystali jednak noc, by sklecić tratwy. Poza tym pogrzebali także obu zabitych, aby rano nic nie stało na przeszkodzie w pościgu.. Możecie zatem łatwo obliczyć, o ile ich ubiegliśmy.

— Nie dogonią nas!

— Nie, ale jeśli mamy Pa-Utesów zwabić do kanionu, będziemy ich musieli dopuścić blisko siebie.

— Czy Nawajowie nie będą na stanowiskach?

— Teraz ich jeszcze nie ma, my staniemy w kanionie dopiero wieczorem, a do tego czasu nadciągnie Natsas-Ker ze swymi wojownikami. To wszystko co chwilowo musimy wiedzieć.

— Ale wszak nie mówił pan o tym z Winnetou! Być może on ma inny plan?

— Nie. Zna mnie, a ja jego. A teraz postarajcie się o ryby.

Szczęście dziś również sprzyjało Hammerdulowi i Holbersowi. Krótki ich połów był zankomity. Przestali łowić dopiero, kiedy ujrzelśmy z daleka tratwę. Ryby zaczęły się smażyć na ognisku, aby głodni nie musieli długo czekać. Winnetou stał na przedzie i wpatrywał się w naszą stronę. Stwierdziwszy nieobecność Flechtera, skinął z zadowoleniem i skierował tratwę ku brzegowi. Zapach smażonych ryb, tak podziałał na ośmiu przybyłych mężczyzn, iż po chwili pałaszowali je siedząc wokół ogniska.

Teraz za dnia mogłem się przyjrzeć twarzom nowych towarzyszy.

Czterej, należący do kompanii Old Cursing-Dry, nie mieli twarzy budzących zaufania, słownik ich również przedstawiał wiele do życzenia. Winnetou odprowadził mnie na stronę, aby omówić rzeczy

38

najważniejsze. Gdy kończyliśmy młody Flechter zawołał do nas:

— Co to za tajemnice? Czy aby nie macie brudnego sumienia, że nie możemy słyszeć waszej rozmowy?

Dick Hammerdull odezwał się:

— Zdaje się, że pan nie wie, z kim rozmawia, Flechter! Old Shatterhand i Winnetou nie są przyzwyczajeni do takiego tonu!

— Tak? A więc mam się może rozpylić w komplementach i podziękowaniach za to, że nie pozwalają mi otworzyć ust?

— Czy ust, czy nie ust, to na jedno wychodzi, ale rezykuje pan mordobicie.

— Chciałbym widzieć, kto się odważy! To, że nas uwolniliście, to rzecz podrzędna, gdyż nakazywał to wam pieprzony obowiązek. Nie winniśmy wam wdzięczności. Chcę poza tym bezwarunkowo wiedzieć, gdzie jest mój stary bydlak!

Dick odpowiedzi }:

— Skoro pan takim wyrażeniem określa swego ojca, powiem panu, że mknie przed nami w drodze do Nawajów. Nieprawdaż, Pitt Holbers, coonie?

— Tak, drogi Dicku, jeżeli jest przed nami, to nie może byc za nami.

— Well, jeśli tak, to jestem chwilowo zadowolony — oświadczył Flechter. — Mam nadzieję, że przyglupi Utesowie zwabią się w pułapkę, ale w takim razie będą...

Nastąpił potok wulgarnych słów, których niepodobna powtórzyć. Opowiedział teraz kilka swoich przygód, świadczących, iż obaj Flech-terowie uważali każdego Indianina za stworzenie, które powinno podlegać likwidacji. Iluż czerwonych mogli mieć na sumieniu!

Zabawiliśmy całą godzinę nad Sitsu-to, ponieważ chcieliśmy, aby nasi prześladowcy podeszli do nas jak najbliżej. Następnie Winnetou z ośmioma towarzyszami pojechali naprzód. My postaraliśmy się, aby Pa-Utesowie z dala ujrzeli naszą tratwę i stwierdzili, że tu odpoczywaliśmy. Po czym opuściliśmy to miejsce, oczywiście, nie zapomniawszy zabrać ze sobą Old Cursing-Dry. W drodze uwolniliśmy go

39

z knebla. Nie śmiał nas wprawdzie przeklinać, ale miotał wyrażenia, jakich nigdy w życiu nie słyszałem. Powtarzał zwłaszcza przysięgi, że to nie on zamordował obu Indian.

Droga to prowadziła nas do rzeki, to znów się oddalała od niej. Dopiero późno po południu mogliśmy jechać wzdłuż brzegów bez przerwy. Za nami ciągnęła się daleka, prosta równina, z lewej strony potok, a przed nami wznosiły się wyżyny, tworzące pionowe ściany, między którymi znikła Rio San Juan. To był ów kanion, w który chcieliśmy zwabić Pa Utesów.

A by zwabić ich tutaj, umówiłem się z wodzem Apaczów, iż zatrzymamy się tak długo, dopóki wrogowie nas nie zobaczą. Zeskoczyliśmy zatem z koni i czekaliśmy. Nie minął kwadrans, gdy z przeciwnej strony ujrzeliśmy zbliżającego się jeźdźca. Był to młodszy wódz Na-wajów. Zameldował, że jego wojownicy są u celu, i że ustawili się zgodnie z rozkazem Winnetou. Skorzystałem z jego przybycia, aby oddać mu starego Rechtera. Otrzyinawszy dalsze instrukcje, zawrócił do swoich, by Nitsas-Kerowi zdać sprawę ze spotkania.

Wkrótce potem przypląnęła nasza tratwa. Dałem umówiony sygnał, Winnetou przybił do brzegu. Rzeka ciągnęła się linią prostą, więc Winnetou już z daleka mógł zauważyć swoich prześladowców, podobnie jak i my swoich. Dick Hammerdull wyraził wątpliwość, czy Pa-Utesowie w ogóle ruszyli w pościg, Pitt Holbers wskazał w dal i rzekł:

— Obejrzyj się, stary Dicku, a zobaczysz że mister Shatterhand, jak zawsze, ma rację.

Istotnie, przybywali! Spory oddział jeźdźców może nawet dwustu. Nie ruszyliśmy się z miejsca kiedy nas zobaczyli, zatrzymali się. W tej chwili spojrzeliśmy na rzekę, z dala płynęło cztery czy pięć tratw. Winnetou spostrzegł je i odbił od brzegu, aby się im pokazać. Rzeczywiście, zobaczyli go i zwiększyli szybkość, a jednocześnie jazda za nami puściła się w galop. Wszystko zdawało się zapowiedzieć powodzenie planu.



Pojechaliśmy więc, równoległe do tratwy Winnetou. Obejrzawszy się wkrótce, spostrzegliśmy, że jeźdźcy dotarli do miejsca, na którym się poprzednio zatrzymaliśmy, i że stamtąd zobaczyli tratwę Winnetou i własne tratwy. Wysoko wzniesione ręce wskazywały, że wrogowie wydawali okrzyki triumfu. Po chwili pojęli przerwany pościg. Rzeka płynęła węższym korytem, w skutek czego szybkość prądu była znacznie większa, Winnetou mógł zatem swą tratwą dotrzymać nam kroku. Skaty wznosiły się coraz wyżej i wyżej a niebawem tak się do siebie zbliżyły, że między nimi a wodą był pas szeroki na niespełna pięć metrów, zresztą coraz węższy. Było to wejście do kanionu. Szybkie spojrzenie powiedziało mi, że część Nawajów zajęła już swoje stanowiska. Jechaliśmy dalej między nadzwyczaj wysokimi ścianami skalnymi, blisko rzeki, poprzez szczeliny i głązy, w coraz głębszym półmroku. Lecz naraz się rozjaśniło, to skaty rozstały się raptownie na boki.

Przed nami ciągnął się chaos głazów, zza których pojawiły się postacie Nawajów. Zatrzymaliśmy się, aby zsiąść z koni i poprowadzić je przez wąskie przejście między blokami. Wódz Nawajów pozdrowił nas. Stwierdziłem z zadowoleniem nieobecność starego Flechtera. Nawajowie trzymali go na uboczu. Wkrótce potem nadpłynął Winnetou i przyłączył się do nas ze swoimi towarzyszami. Odbyło się to szybciej, niż przewidywałem i oto już w korytarzu, który kanion zdawał się tworzyć, ujrzelśmy tratwy i jazdę Pa-Utesów. Weszli w pułapkę.

Wymierzyłem z dalekonośnej niedźwiedziówki i trafiłem dwa konie. Wystrzały odbity się od ścian kanionu jak salwy armatnie. Nawajowie wyskoczyli z kryjówek. Roiło się od nich na wszystkich skałach, zalegali krawędzie z bronią w pogotowiu. Ujrzawszy ich, jeźdźcy Pa-Utesów osadzili rumaki i krzyczeli do swoich towarzyszy z tratw, aby bezzwłocznie przybijali do brzegu, co się też stało, mimo znacznych trudności terenowych. Teraz padły salwy, które nikogo z nas nie trafiły. Wrogowie, przekonawszy się, że nie przebiją się zawrócili.

41

Kiedy zniknęli, wyminęły nas opuszczone w pośpiechu puste tratwy. Czakaliśmy niedługo, gdy Utesowie zawrócili, nie ważąc się podejść na odległość strzału. Odparci przez naszą awangardę, przekonali się, że są w pułapce. Podczas kiedy my mieliśmy dosyć miejsca, aby się szeroko i wygodnie ustawić w szyku bojowym, oni byli stłoczeni w gardzieli skalnej, wskutek czego tylko stojący na przedzie mogli posługiwać się bronią. Byliśmy przeświadczeni, iż niedługo nastąpi rozstrzygnięcie. Istotnie niebawem jeden z nich zbliżył się, do nas na znak pokojowych zamiarów machając białą płachtą. Pozwoliliśmy mu podejść. Oznajmił, iż wódz jego pragnie się rozmówić z naszym dowódcą. Pozwoliliśmy wodzowi Pates-avat przyjść do nas, zapewniając mu całkowite bezpieczeństwo i nietykalność.

Pertraktacje, posuwały się naprzód niezmiernie powoli, iście po indiańsku, w międzyczasie zapadł zmrok i trzeba było zapalić ognisko. Wódz Nawajów zażądał pokoju i pięćdziesięciu strzelb, naczelnik Pa-Utesów godził się na pokój, ale nie chciał dawać strzelb, ponieważ zastrzelono jego syna i jednego wojownika. Wówczas

wtrącił się Win-netou, w następstwie czego Pats-avat dał broń i dostał mordercę syna. Ugoda została przypieczętowana obustronnym wypaleniem kalema-tu, po czym Pa-Utes wrócił do swoich, aby im oznajmić nowinę. Tylko Winnetou zawdzięczał, iż będąc osaczonym, tak łatwo się wywinął.

Posłano gońca do naszego oddziału, zamykającego wejścia do wąwozu w następstwie czego wszyscy Nawajowie wycofali się z kanionu na wysoki brzeg. Pa-Utesowie przybyli za nimi. Rozbito obóz. Rzecz interesująca, natychmiast po zawarciu pokoju wygasł wszelki ślad nieufności.

Obie grupy obozowały w sąsiedztwie. Pats-avat miał ciężkie zadanie, nie wiedział których wojowników skazać na utratę strzelb. Toteż dopiero około północy wydał okup, teraz przybył do nas po mordercę syna. Oczywiście zwrócił też wszystko, co zabrał ośmiu jeńcom. Pa-Utesowie przynieśli te rzeczy, a także przyprowadzili konie wraz ze

42

strzelbami. Okazało się że niczego nie brak. Wraz z dowódcą przybył ów Pa-Utes, który był świadkiem zamordowania obu Indian i widział uciekającego zabójcę. Miał stwierdzić tożsamość podejrzanego.

Naturalnie, zanim wydano Old Cursing-Dry, trzeba mu było do-wieść zabójstwa.

Wyznaczono więc sąd składający się z obu wodzów, z Winnetou, Dicka Hammerdulla i ze mnie.

Flechter był tak izolowany, iż syn jeszcze go nie widział. Teraz, ujrawszy ojca, w więzach zbliżył się do nas i z niepohamowaną wściekłością zażądał uwolnienia starego. Nastąpiła scena, którą wolę pominąć milczeniem, skończyła się spętaniem Flechtera juniora i wystawieniem przy nim strażnika.

Dokoła nas utworzył się obszerny okrąg słuchaczy. Zanim nastąpiło przesłuchanie; zdjęto, starym zwyczajem prerii, oskarżonemu wię-zy. O uwolnieniu nie mogło być mowy. Świadek z miejsca poznał w nim uciekającego zabójcę. Skoro mu pokazano konia Flechtera, oświadczył z całą stanowczością, że to ten sam, na którym siedział skrytobójca. Dowód był przeprowadzony. Kiedy udzielono głosu Flechterowi, kłął tylko i powtarzał znaną już przysięgę, że chce ośle-pnąć i ulec zmiążdżeniu, jeśli jest mordercą. Musieliśmy go wysłu-chać, chociaż uszy nam puchły. Dodajmy do tego jego wygląd! Twarz przypominała raczej maskę wściekłej bestii, niż oblicze człowieka!

Pats-avat, ojciec zamordowanego, siedział na wprost mnie. Broń jego leżała przy nim. Nóż, tomahawk i stary dwururkowy pistolet sterczały mu za pasem, przy którym także wisiała ładownica. Zapew-ne, aby czymś się zająć i zamaskować podniecenie, wyciągnął pistolet i zaczął ładować, nie zważałem na to, ponieważ cała moja uwaga była skierowana na Old Cursing-Dry, który wyrzucał z siebie bluźnierstwa. Z kolei Winnetou powtórzył punkty oskarżenia, do obrony nic się nie znalazło. Musieliśmy wydać wyrok. Skoro jednomyślnie zapadło orze-czenie: „ winien”, Apacz podniósł się i rzekł:

— Tak więc sprawiedliwy sąd prerii uznał, że Old Cursing-Dry zamordował obu wojowników Pa-Utesów, a ponieważ przyrzekliśmy

wydać mordercę, przeto wydajemy go wodzowi Pa-Utesów, który może z nim zrobić, co mu się podoba. Howgh\

Z kolei podniósł się Pats-avat. Trzymając w lewej ręce pistolet, wyciągnął prawą w kierunku Flechtera i zawołał:

— Ten biały drapieżnik należy teraz do mnie. Natychmiast zostanie przywiązany do pala i dozna takich mąk, że przez trzy dni i trzy noce będzie wył, a nie zdechnie, gdyż nie tylko popełnił dowiedzione mu podwójne morderstwo, a ponadto jest znanym mordercą i dręczycie-lem wielu innych czerwonych. Howgh\

Flechter stał przez chwilę jak skamieniały. Ale wnet ryknął do wodza:

— Ja zdechnąć? Przy palu męczeńskim? Pragnę oślepnąć, jeśli to ja byłem! Czerwony psie! Jeśli dla mnie nie ma ratunku, ty również giń! Uważaj!

Wyrwał pistolet z ręki Pats-avata, wycelował w niego i strzelił. W oka mgnieniu przyłożył go do własnej skroni i opuścił kurek. Wystrzały rozległy się jeden po drugim. Przy pierwszym wódz uskoczył na bok, a przy drugim wyciągnął rękę po pistolet. Wszyscy zerwali się z miejsc. Sądziliśmy, że obaj runą martwi na ziemię. Jednak wódz stał nieporuszony.

— Nie trafił mnie, — rzekł — ponieważ odtrąciłem jego rękę i ponieważ broń była nabita dopiero prochem, a nie kulą. Lecz spójrzcie na tego białego psa! Co mu się stało?

Pistolet wypadł mu z ręki. Stał nieruchomo, przyciskając obie dłonie do oczu. Po chwili odjął ręce i podniósł głowę, jak gdyby pragnąc zobaczyć gwiazdziste niebo i wydał straszliwy, do szpiku kości przenikający krzyk.

— Uff, uff, uff! — zawołał Winnetou. — Mówił, że chce oślepnąć, jeżeli jest winien i wypalił sobie oczy prochem! Sąd prerii skazał go, ale Wielki Manitou osądził sprawiedliwiej. Stało się tak, jak sam żądał od Wielkiego Ducha. Winnetou, wódz Apaczów, widział i przeżył wiele, czego inni nie mogli widzieć. Atoli ten sąd przejmuje go zgrozą.

## HowgW

Otrząsnął się i odwrócił. Było, jak powiedział, Hechter chciał sobie strzelić w skroń, ale że Pa-avat złapał go za rękę, więc wystrzał trafił w oczy. Podobnie jak Winnetou, mnie również ogarnęła groza. Od-szedłem aby nie słyszeć krzyków dotkniętego karą. Kiedy po podłuż-szym czasie wróciłem, bluźnierca znajdował się u Pa-Utesów, których wódz zaniechał obecnie myśli przywiązania go do pala męczarni.

Jakkolwiek zlaknieni byliśmy wypoczynku, nie mogłem zmrużyć oka i przewracałem się z boku na bok. W uchu brzmiały mi wciąż słowa Apacza:

..Ale Wielki Manitou osądził go sprawiedliwie!] Kiedy się wreszcie zdrzemnąłem, zdawało mi że słyszę dwa wystrzały z pistoletu. Ale czy naprawdę we śnie? A może czuwałem? Okazało, że naprawdę padły strzały, usłyszałem bieżnię i okrzyki. Zerwałem się na równe nogi. Cały obóz był obudzony. Dowiedziałem się że Old Cur-sing-Dry zbiegł. Jak to było możliwe? On oślepy i jednocześnie spętany? Trudno mi było uwierzyć. A może nie oślepy, albo tylko częściowo? Przybiegli Dick Hammerdull i Pitt Holbers krzycząc z daleka:

— Czy wie pan, że stary Flechter umknął, sir?

— Słyszałem, ale nie chce mi się wierzyć.

— Czy pan wierzy, czy nie, to na jedno wychodzi, ale tak jest w rzeczy samej, mister Shatterhand!

— Czy był spętany?

— Yes.

— A więc Pa-Utesowie nie strzegli go dosyć pilnie?

— To prawda. Ale był ślepy i spętany, można więc było sądzić, że nie umknie.

— Ale jak mógł uciec? Musiał mu ktoś pomóc!

— Naturalnie, syn mu pomógł, gdyż także znikł, a jeden z wartowników widział dwóch białych na jednym koniu.

— Nie mieli czasu zdobyć drugiego rumaka. A czy syn me był

45

związany?

— Czy związany czy nie, to nie zmienia postaci rzeczy, ważne, że uwolniono go z więzów, ponieważ bardzo o to błagał i przyrzekł zachowywać się poprawnie. Nie widziano zresztą powodu do podejrzeń, stary bowiem był już wydany Pa-Utesom i tkwił mocno w ich rękach, jak amen w pacierzu.

— Co za nieostrożność! W jakim kierunku zbiegli?

— Chcieli się przekraść koło wartownika, stojącego na południu.

Okrzyknął ich, skoro nie odpowiedzieli, wystrzelił dwukrotnie. Miał przy sobie karabin gdyż był to jeden z naszych.

— Chodźmy! Chcę iść do miejsca, gdzie wartownik spotrzegł zbiegów. Być może, mimo ciemności, odkryjemy jakiś ślad.

Poszliśmy. Wielu udało się za nami. Wkrótce usłyszeliśmy przed sobą donośny głos Winnetou, który zabronił się zbliżać, aby uchronić ślady uciekinierów przed zdeptaniem. Kiedy podszedłem doń, rzekł:

— Mój brat słyszał, co się zdarzyło. Musimy...

Urwał i wsłuchł się noc. Usłyszeliśmy tętent konia, który się do nas powoli zbliżał. Poszliśmy naprzeciw z wycelowanymi rewolwerami. Wszakże ta ostrożność była zbyteczna, koń biegł bez jźdźca. Był to wierzchowiec młodego Flechtera. Kiedy sprowadziliśmy go do zapałonego ponownie ogniska obozowego, zauważyliśmy na

nim świeżą krew, mimo że nie był ranny. Jeden z jeźdźców został chyba trafiony kulą wartownika. Koń pozbył się obu i wrócił do biwaku. Teraz nie uległo wąpiiwości, że znajdziemy uciekinierów. Mogliśmy spokojnie czekać dnia. Kiedy zaczęło świtać, udaliśmy się na poszukiwanie. Z miejsca, gdzie stał wartownik, ślad ciągnął się najwyżej jakieś tysiąc kroków. Tam leżał młodszy Flechter martwy i zimny. Kula trafiła go w serce poprzez plecy, mógł się zatem najwyżej przez kilka sekund utrzymać na koniu, który następnie pomknął dalej pod starym Flechterem.

Wskutek ślepoty, stary prowadził konia fałszywie, mianowicie ku  
46

skale, która opadała na trzydzieści metrów w głąb. Koń nie chciał dalej jechać i stracił jeźdźcę. Wyrzawszy przez krawędź, zobaczyliśmy go na dole. Żył jeszcze.

Widzieliśmy, jak się poruszał i słyszeliśmy słabe jęki.

Nie jestem skłony do zawrotów głowy, a jednak doznałem ich na samą myśl, że i druga część bluźnierstwa nie omieszkała go osiągnąć:

**„Chcę oślepnąć i ulec zmiżdżeniu” rzeki, a teraz leżał zmiżdżony!**

Sprowadziliśmy pomoc i zeszliliśmy na dół po łagodniejszym zbo-czu. Wreszcie znaleźliśmy się obok Flechtera. Jęczał przymykając napuchnięte powieki. Ukląknęłam przy nim i zapytałam:

— Mister Flechter, czy słyszy mnie pan? Czy rozumie?

Powoli podniósł powieki. Centkowane prochem gałki oczu spoj-rzały na mnie martwo. Nie dostałem jednak odpowiedzi.

Ponowiłem pytanie, z tym samym skutkiem. Zaczęliśmy go badać.

Głowa nie była uszkodzona, ale ręce i nogi miał zdruzgotane.

— Zmiżdżony, jak pragnął! — szepnął Apacz.

Na pewno doznał wewnętrznych obrażeń. Kiedy spróbowaliśmy go podnieść, wydał krzyk, przypominający przeciągły ryk. Straszliwy ból wrócił mu przytomność. Gdy go bowiem znowu zapytałam, czy mnie słyszy i rozumie, przestał ryczeć i odpowiedział:

— Kto tu?

— Old Shatterhand i Winnetou.

— Gdzie jest mój syn?

— Nie żyje.

— Zastrzelony?

— Tak.

— Za...strze...lo...ny! To...ja...jestem wL.nien!

— Tak, to pan winien jest wszystkiemu, własnemu straszliwemu końcowi i także tragicznej śmierci syna!

Sieknął głęboko i zamknął oczy. Leżał tak przez chwilę nierucho-mo, w najgłębszym milczeniu. Zapytałam go znowu:

— Czy jest pan przytomny? Czy słyszysz mnie?

47

— Tak... — szepnął.

— Już niewiele pozostało panu żyda, proszę pomyśleć o śmierci!

O swoich grzechach i o Sądzie Ostatecznym! Pomyśl także o Bożym miłosierdziu, które nie ma granic!

— Bo...że mi...ło...sier...dzie!

— Wyznaj wreszcie prawdę! Czy zastrzelełeś obu Pa-Utesów?

— Tak.

— Czy żałujesz tego grzechu i wszystkich grzechów poprzednio popełnionych?

— Ża...łu...ję! Módl... się... za... mnie... Oj...cze... Nasz...

— Posłuchaj, co powiem! Jeśli twoja skrucha jest prawdziwa, to możesz skonać w przeświadczeniu, iż Najmiłosierniejszy będzie dla ciebie litościwym Sędzią.

Przejdź z tą nadzieją do wiecznego życia! A teraz módlmy się!

Spróbował złożyć dłonie bezwładnie zwisających rąk, ale daremnie. Pomogłem mu i głośno zmówiłem „Ojcze Nasz”, a następnie i inne modlitwy, których potrzebę w tej chwili żywo odczuwałem. Na twarzy nieszczęsnego ukazał się lekki, niemal radosny uśmiech. Powolny, znużony ruch głową, jak przy zasypianiu i wszystko się skończyło. Old Cursing-Dry nie żył. Oby żadne jego przekleństwo nie poszło za nim do lepszego życia!

Winnetou podniósł się i rzekł:

— Teraz spełniło się życzenie mego brata Szarlicha, dusza tego człowieka odeszła do Wielkiego Dobrego Manitou. Jego ciało zaś spoczywać będzie w ziemi obok ciała syna, póki w jasny, promienny dzień nie połączy się ponownie z duszą.

Powiedziałem. Howgh\

## **Blizzard**

### **4 — Niebezpieczne szlaki**

Wraz z Winnetou, brałem udział z tamtej strony gór, w jesiennym polowaniu na bawoły, a następnie przeprowiłem się z nim przez góry i mimo późnej pory roku, pojechaliśmy na ukos przez cały Wyoming aż do fortu Niobrara w Nebrasce, gdzie zastała nas zima. Ponieważ często zjawiali się tu Siuksowie, którzy uważali nas za swoich wrogów, nie kwapiliśmy się oczywiście z wymienianiem naszych imion i byliśmy zadowoleni, że nikt nie wiedział o naszej obecności. Ponieważ ubiory myśliwskie mieliśmy nader zniszczone, a droga nasza prowa-dziła na cywilizowany Wschód, więc kupiliśmy w forcie przyzwoite ubrania z ciepłych zimowych materiałów oraz grube pledy. W tym stroju nie wyglądałem na westmana, a że

nazwałem się Beyer, Winne-tou zaś ode mnie się nie oddalał, przeto nazywano go Indianinem mister Beyera.

Fort Niobrara był całkowicie zasypany śniegiem, cały ten obszerny kraj został odcięty od reszty świata. Byliśmy skazani na samotność przez grudzień i styczeń. Jedyne nasze towarzystwo stanowiło kilku oficerów załogi, którzy nie wydawali mi się zbyt sympatyczni, a resztą

51

żołnierzy zajmowaliśmy się tylko na tyle, na ile konieczność tego wymagała. A co się tyczy innych obecnych w forcie, to tylko z dwoma poprzestawaliśmy od czasu do czasu. Byli to bracia Burning z Moberiy nad Missouri, którzy w Blackhills znaleźli złoto i wracali teraz do doinu z plonem swojej pracy. Obaj byli żonaci, tęsknili do swoich i ciężko odczuwali przymusową, długą izolację w tej zapadłej norze.

Poza tym było tu wielu mężczyzn, przede wszystkim podejrzanych indywiduów. Bracia Burning nie zadawali się z nimi. Miały tu miejsce najrozmaitsze awantury. Wiele strzelano, wiele grano, zakładano się, a najczęściej zalewano robaka.

Panowała atmosfera tak dla mnie niemiła, że o ile mogłem, nie przestępowałem progu saloonu. Najbrutalniej zachowywali się dwaj hultaje, nazywający się Grinder i Slack. Byli zawodowymi szulerami, notorycznymi pijakami i bezwzględny awanturnikami, pozbawionymi zresztą, prawdziwej odwagi. Żadna biesiada nie minęła bez spowodowanej przez nich awantury. Szczególnie zaś upodobali sobie rodzaj pojedynków, zwanych amerykańskimi. Zawsze umieli się tak urządzić, że unikali następstw. Hałasowali i darli się, w rzeczy samej jednak byli tchórzami. Najwstrętniejsze zaś dla mnie były dwa wyrażenia, których każdy z nich używał przynajmniej setkę razy dziennie, jako przysięgę, jako potwierdzenie, w ogóle przy każdej okazji. Stałym słówkiem Grindera było „niech od razu oślepnę”, podczas gdy jego kompan powtarzał bez sensu „niech mi Bóg wydrze rozum”.

Jedyny raz tylko wpadłem w konflikt z obu tymi typkami. Dowiedzieli się, że jestem Niemcem i kiedy pewnego razu milczącym gestem odtrąciłem ich zaproszenie do gry, rzucili mi w twarz: — Damned Dulchman, Przeklęty Szwab! Za to każdego z nich obdarzyłem tak siarczystymi policzkami, że obaj zlecieli z krzesel. Widzowie sądzili oczywiście, że powstanie straszliwa awantura, ale mylili się bardzo, gdyż fanfaroni nie śmieli się targnąć na „mister Beyera, lub jego Indianina”.

### **Trzeba również wspomnieć o dwóch czerwonoskórych, których**

52

śnieżyca zapędziła do fortu. Twierdzili, że należą do plemienia bardzo wątpliwej autentyczności, mianowicie Caddo, prawdopodobnie jednak byli to wojownicy relegowani z innego plemienia. Obaj nader ubodzy, ledwo mieli jaki taki przydziewek, broni nie posiadali, gdyż w drodze zostali obrabowani przez Siuksów. Dążyli do Karfas i wycinali łuki i strzały, aby nie umrzeć z głodu. Obdarowaliśmy ich w miarę możliwości, atoli nie mogliśmy wystarać się o wierzchowce i o broń dla nich, gdyż tak niezbędnych artykułów nie było tutaj na sprzedaż.

Na początku lutego mróz nagle zelżał. Nastąpiła odwilż i spadły deszcze. Śnieg szybko stajał, mogliśmy więc puścić się w dalszą drogę. Przede wszystkim wyruszyli obaj Indianie, oczywiście pieszo. Daliśmy im na drogę przyzwoity zapas żywności, który mógł starczyć do fortu Hillock, gdzie mogli się zatrzymać. Fort ten był wówczas założony dla próby, ale już następnego roku trzeba go było zwinąć. W dwa dni później odjechali bracia Burning, a następnego dnia Grinder i Slack. Stałem właśnie z Winnetou przed bramą. Kiedy nas minęli, Slack zawołał:

— Nie wchodźcie nam w drogę! Kiedy was zobaczę znowu, to niech mi Bóg wydrze rozum, jeśli nie zgaszę was jak świeczkę.

A Grinder dodał z groźbą:

— Tak, zapamiętajcie to sobie, szubrawcy! Kiedy pozwolicie się zdybać, to niech oślepnę, jeśli nie zginięcie od ciosów, którymi was obdarzymy!

Patrzyliśmy prosto przed siebie, jak gdyby słowa te nie nas dotyczy-ły. Tacy ludzie nie mogli nas obrazić.

Jako doświadczeni westmani, czekaliśmy jeszcze jeden dzień, aby mieć pewność, czy pogoda się ustali, następnie wyruszyliśmy. Łatwo zrozumieć, że jazda przez rozmiękły odwilżą kraj nie należy do najwygodniejszych, ale nasze ogiery po wielu tygodniach wypoczynku przewyciężały wszelkie przeszkody. Na miękkim gruncie odczytywaliśmy zupełnie wyraźne ślady tych, którzy przed nami opuścili fort Niobrara. Wszyscy, a więc dwaj Indianie, Burningowie, Grinder i

53

Slack zdawali się bez wyjątku dążyć do fortu Hillock. Opowiadano mi, że w ostatnich czasach Grinder i Slack nie mieli szczęścia w grze i przepuścili ostatni grosz. Wobec tego trzeba się było strzec tych ludzi z podwójną przezornością. A wiedzieli prawdopodobnie, że Burningowie wiozą ze sobą złoty piasek i nuggety. Sądziłem, że są zbyt tchórzliwi, aby się ważyć na otwartą walkę, ale wiedziałem również, że są dość występni, łby dla złota pokusić się o zdradziecki napad. Skoro podzieliłem się tymi myślami z Winnetou, nic nie odpowiedział, natomiast ścisnął rumaka kolanami, co było dla mnie równie wymowne, jak gdyby odrzekł: — „Masz słuszność, trzeba się śpieszyć i dogonić tych łotrów”!

Mogę pominąć milczeniem szczegóły naszej wielodniowej podróży. Ślady zbiegały się podczas całej drogi. Jechaliśmy za nimi przez Loux-Fork, gdzie lód miejscami był tak gruby i twardy, że wytrzymał ciężar jeźdźców. Siłą do fortu Hillock był niecały dzień jazdy. Ale ponieważ przybyliśmy po południu, więc nie mogliśmy stanąć u celu przed następnym przedpołudniem.

Czytało się głębokoi wydeptany trop, jak otwarta księgę. Mogliśmy, a zwłaszcza wyćwiczony w tym Winnetou, określić datę z dokładnością godziny. Dwaj Indianie wyruszyli o dwa dni wcześniej od Burningów, ale szli pieszo i dlatego prawie się już zrównali, a w każdym razie musieli się zrównać idźis wieczorem, albo najpóźniej jutro rano. Grinder i Slack wyjechali o dzień później od Burningów, ale jak łatwo było poznać z ich śladów, tak popędzali swoje wierzchwce, że podążali tuż za obu



braćmi. T(b wzmogło mój niepokój. Z jakiego powodu pędzili tak szybko? Czy chcą napaść na Burningów, czy też wcześniej chcą przybyć do fortu Hillock? Jedno i drugie było możliwe. Odpowiedź miały przynieść najbliższe godziny. Jeśli ślady pokażą że Grinder i Slack wyprzedzili Burningów, to obawy moje okażą się płonne. Cwałowaliśmy w galopie przez równinę, wciąż nie spuszczać oczu ze śladów. Minęła godzina, potem druga, aż Winnetou spiął konia ostrogami i rzekł pewnym głosem:

54

— Obaj mężowie, którzy nazywają się Burningami, są zgubieni.

Dziś w nocy ich zamordują.

Skinąłem głową, ponieważ podzielałem jego zdanie. Dodał:

— Odległość między obu śladami wynosi godzinę. Przez osiem mil wcale się nie zmniejszała, a zatem Grinder i Slack nie chcą wyprzedzić Burningów, ale dosięgnąć ich w nocy i zamordować.

— Panie Boże! — krzyknąłem. — Nie możemy pospieszyć z pomocą!

—Howgh\ — potwierdził. — Nie będziemy mogli tak prędko ich dogonić, gdyż za dwie godziny zapadnie mrok, a wówczas nie zoba-czymy śladów. Mimo to pędźmy co koń wyskoczy i błagajmy Wielkie-go Manitou, aby ochronił obu braci!

W końcu jednak w zapadających ciemnościach musieliśmy się zatrzymać na noc nad małym dopływem Loux Fork.

Gdyby ziemię okrywał śnieg, rozjaśniłby nam drogę, pozwolił od-różnić ślady i dzięki temu zapobiec zbrodni, ale śniegu nie było. Mimo niecierpliwości, która nie pozwoliła nam zmrużyć oka, musieliśmy czekać, aż nastanie późny zimowy świt. Skoro tylko na wschodzie zaczęło szarzeć, dosiedliśmy koni i pojechaliśmy dalej. Istniała jeszcze nadzieja, mianowicie ta, że Burningowie nie zapalili ogniska obozo-wego, i że ich Grinder ze Slackiem nie znaleźli. Jednak nadzieja ta coraz bardziej słabła, gdyż stwierdziliśmy, że ślady jeszcze zbliżyły się do siebie. Grinder i Slack już poprzedniego dnia, kiedy się poczęło ściemniać, zaczęli przynaglać konie. Każdy moment mógł nam przy-nieść oczywisty dowód, że dwaj ludzie padli ofiarą zbrodni. Pędziliśmy do krzewiny, za którą skręcały ślady. Za zakrętem ru-maki, bynajmniej przez nas nie osadzone, zatrzymały się same. Bur-ningowie leżeli w kałuży krwi nad popiołem zgaszonego ogniska. Zeskoczyliśmy z koni, aby zbadać ciała. Nie żyli już poprzedniej nocy.

Ku zdumieniu, ujrzeliśmy, że nie byli zastrzeleni, tylko przebici. Aby zadźgać człowieka, trzeba mieć więcej odwagi, niż go zastrzelić z odległości. Czyżby więc mordercy nie byli tak tchórzliwi, jak mi się

55

wydawali? A może jakiś określony powód kazał im użyć noża zamiast kuł?

Wiedzieliśmy, co należy uczynić. Musieliśmy zostawić zwłoki i pomknąć za zbójami, którzy zabrali swoim ofiarom złoto, strzelby i konie, pozostawiając resztę dobytku. Cwałowaliśmy dalej ich śladem, który ku naszemu zdziwieniu, prowadził

ku fortowi Hillock. Czy popełnione przestępstwo nie było dostatecznym powodem do unika-nia tej miejscowości?

Po godzinie wyczytaliśmy ze śladów, że jeźdźcy się zatrzymali. Były tu nie tylko ślady kopyt, ale także i nóg ludzkich. Lecz dalej szesnasto-kopytowy ślad rozszczepiał się na dwa ośmiokopytowe.

Cóż to znaczyło? Zatrzymaliśmy się. Winnetou zawołał:

— Ujf! Tu szli czerwoni Caddo i dostali od morderców zrabowane konie!

Z jaką przenikliwością Winnetou odgadł prawdę! Mordercy dogo-nili pieszych Indian i podarowali im konie, aby na nich zrzucić podej-rzenie. Teraz zrozumiałem, dlaczego zakłuli Burningów, a nie zastrze-lili. Caddo nie posiadali strzelb, lecz noże, łuki i strzały. A zatem już poprzedniego dnia byli przeznaczeni na kozły ofiarne. Jak lekkomy-ślnie Indianie weszli w pułapkę i jak zuchwali byli mordercy, pozna-liśmy z tego, że Grinder i Slack nie pojechali wprost do fortu, lecz zбочyli, aby zapewne ukryć zrabowane rzeczy i przybyć do fortu później od Indian oraz aby oskarżyć tych ostatnich o zbrodnię, przez nich samych dokonaną. Puściliśmy się naprzód.

Winnetou odrzucił swoje wspaniałe, długie włosy i wycedził przez zęby:

— Tu mój brat znowu widzi, kto jest lepszy, biały czy czerwony.

Mimo to szczęście dopisuje białym. My natomiast jesteśmy skazani na zagładę! Uff, uff, uff!

Co miałem i co mogłem mu odpowiedzieć? Nic! Zresztą, nie mieliśmy czasu rozwodzić się nad tą kwestią, gdyż ujrzeliśmy przed sobą na horyzoncie oddział jeźdźców, który pędził na nasze spotkanie.

Ponieważ mknęli z taką samą prawie szybkością, co my, więc spotka-nie nastąpiło dość szybko. Była to część załogi fortu Hillock pod

56

dowództwem porucznika. Kawalerzyści otaczali obu Indian, spęta-nych i przytroczonych do siodła. Oficer kazał się zatrzymać, po czym zwrócił się do nas:

— Skąd przybywacie?

— Z fortu Niobrara — odpowiedziałem.

— Tym oto śladem?

— Tak.

— Czy nie widzieliście czegoś podej-rzanego?

— Owszem, sir, trupy dwóch ludzi, których zabito i obrabowano.

— Well, zgadza się! Jak daleko stąd?

— Trzy kwadranse. Widzę dwóch spętanych Indian. Dlaczego ich spętano?

— Ponieważ zabili owych ludzi, których widzieliście. Sprowadzimy ich na miejsce zbrodni, aby pogrzebać ofiary i powiesić morderców nad mogiłą. Wiecie chyba, że sprawiedliwość jest tutaj na Zachodzie, bardzo skrupulatna.

— Wiem bardzo dobrze, sir. Ale czy jest pan pewien, że ci Indianie są istotnie winni?

— Naturalnie! Złapaliśmy ich z końmi i strzelbami zabitych!

— Skąd jednak mister wie, że te konie i strzelby należały do zabitych?

— Człowieku, kto panu daje prawo tak mnie badać? Jesteś pan obcy tutaj, nie wyglądasz bynajmniej na człowieka Zachodu, ja natomiast jestem oficerem i nie muszę panu zdawać rachunku ze swoich decyzji!

Odwrócił się ode mnie, aby wydać komendę dalszej jazdy, lecz uprzedziłem go:

— Stój, sir! Jeszcze jedną chwileczkę! Czy znajdują się w forcie dwie osoby, które oskarżyły obu Indian?

— Tak, a teraz trzymaj pan język za zębami, człowieku! Nie mam czasu wysłuchiwać twoich natrętnych pytań!

— Natrętnych? — przerwałem. — Obowiązek skłania mnie do

57

stawiania tych pytań, gdyż Indianie są niewinni, zabójcami natomiast są ich oskarżyciele.

— Skąd panu to przyszło do głowy?

— Znaliśmy już wczoraj planowane morderstwo, niestety, nie mogliśmy zapobiec zbrodni. Zaprowadź nas pan do komendanta fortu! Dowiedziemy, że mamy rację.

— Nie tak prędko, jak się panu wydaje! Mam rozkaz pogrzebania obu zamordowanych i powieszenia morderców.

— Nic bym przeciwko temu nie miał, gdyby ci czerwoni naprawdę byli mordercami. Pozwól mi pan powiedzieć wszystko, co wiemy! Musisz mnie wysłuchać.

Kiedy skończyłem, oglądał nas przez chwilę ze zdumieniem, wreszcie rzekł:

— Hm! Sprawiacie wrażenie gentlemanów najzupełniej zielonych, jeśli idzie o Dziki Zachód, a jednak słowa wasze świadczą o darze spostrzegawczości, którego muszę wam powinszować. Czyżby Grin-der i Slack naprawdę nas okłamali? Co prawda na zbyt uczciwych to oni nie wyglądają. Część jednak rozkazu, odnoszącą się do pogrzebania zabitych, muszę bezwzględnie wykonać, zaniecham drugiej na panów odpowiedzialność. Biada wam, jednak, jeśli skłamaliście! Nie pozwolę na żarty!

Wybrał sześciu ludzi, którzy z łopatami mieli jechać do miejsca zbrodni, następnie wziął mnie i Winnetou oraz obu spętanych Indian do środka, po czym pomknęliśmy ku fortowi. Mimo ważności mego wyznania, nie pytał nas wcale o nazwiska. Caddo nie mogli z nami rozmawiać.

Upłynęło trochę czasu, gdy zaczął padać śnieg, z początku rzadki, potem coraz gęściejszy. Nie tajał, bo i temperatura nagle opadła o kilka stopni. Winnetou dziwnym spojrzeniem oglądał niebo i horyzont. Skoro dotarliśmy do fortu, ziemia była pokryta wielocalową warstwą śniegu. To było fatalne, gdyż śnieg przykrył ślady, które mogły dowieść prawdy naszych słów.

58

Fort Hillock z nazwy tylko był fortem. Na ogrodzonym czworokącie wznosiły się strażnice. Długie drewniane budowle nadawały osadzie wygląd raczej składu

towarowego, niż fortecy. Brudno białe resztki śniegu świadczyły, że plac był niedawno otoczony wysokim śnieżnym wałem, który roztopiła odwilż. Nie obawiano się widocznie napadu Indian, gdyż brama była otwarta na oścież.

Jak można było sądzić z zajęć, przy których zastaliśmy żołnierzy, wspomniane długie budowle były stajniami i spichlerzami. Przywołani naszym tętentem, ukazali się dwaj oficerowie, porucznik oraz kapi-tan, który zmarszczył czoło, kiedy nas ujrzał. Dowódca naszego od-działu zsiadł z konia i podszedł do niego, aby złożyć meldunek. My także zeskoczyliśmy z siodeł.

Kapitan słuchał meldunku swego oficera niezbyt uważnie, a gdy zbliżyliśmy się doń, zobaczyliśmy, że poświęca naszym koniom wię-kszą uwagę, niż nam. Zmierzył je spojrzeniem znawcy i rzekł:

— Tbunderklapp, jakie wspaniałe stworzenia! Odkupuję je od was!

Ile będą kosztować?

Dopiero teraz uważał za stosowne zaszczyć nas spojrzeniem. Winnetou nie wywarł nań najmniejszego wrażenia, ale kiedy spojrział na mnie, odczytałem na jego twarzy wyraz oszołomienia.

—Ali devils\ — zawołał. — Kogo ja widzę? Czy to prawda? Kim jesteś,sir?

— Nazywam się Beyer — odpowiedziałem.

Ale on potrząsnął głową, podszedł do mnie, ujął mnie za szyję, odwrócił mą twarz na prawo, aby ujrzeć lewą stronę szyi, po czym rzekł triumfująco:

— Wiedziałem! Ta blizna zyskana w słynnej walce! Widziałem pana u matki Thick w Jefferson City i wiem teraz, że te dwa ogiery nie są na sprzedaż, gdyż w całych Stanach Zjednoczonych nie znajdziesz równych im zwierząt. Niech inni uważają was za greenhomów, mnie ta odzież nie oszuka, messurs\ Jesteście...

— Proszę, — przerwałem szybko — tylko bez nazwisk, kapitanie!

59

— A to czemu?

— Z powodu Siuksów, przez których teren musimy przejechać.

Jeśli pan nas naprawdę poznał, to wie pan chyba, że Siuksowie nie powinni nic wiedzieć o naszej obecności na ich terenie.

— Well, jak sobie życzyacie, sir! Zamierzałem porządnie wyłajać porucznika, że dał się przez was namówić do powrotu, teraz jednak uważam że postąpił słusznie.

Wejdźcie panowie do strażnicy! Zaopie-kujemy się dobrze waszymi wierzchowcami. Panowie zaś dostaniecie tęgiego grogu i powiecie mi, co macie przeciwko Grinderowi i Slac-kowi.

— Gdzież są ci szubrawcy, kapitanie? Nie widzę ich. Chyba nie odjechali?

— O nie! Konie ich stoją tam w stajni. Oni sami poszli upolować jakąś zwierzynę na obiad.

— I aby wrócić do kryjówki, gdzie schowali zrabowane złoto. Jaka szkoda, że spadł śnieg! Nie można pójść ich tropem. Ten śnieg rów-nież pozbawia nas niezbędnych dowodów zbrodni.

— To mi jest objętnie, sir! Wiem przecież, że potraficie wydobyć dowody spod najgłębszego śniegu. Strażnica, do której nas zaprowadzili, służyła za mieszkanie kapitanowi oraz obu jego porucznikom. Podczas gdy młodszy oficer zajął się przyrządzaniem grogu, kapitan wskazał nam, dwa prymitywnie sklecone krzesła i rzekł:

— Siadajcie messurs i powiedzcie mi szczerze, mam przed sobą Old Shatterhanda i Winnetou?

Pokazując mu naszą broń, którą oczywiście mieliśmy przy sobie, odpowiedziałem!

— Oto słynna srebrna strzelba wodza Apaczów, a oto mój sztucer i moja niedźwiedziówka. Teraz, mam nadzieję, wiecie dokładnie, kim jesteśmy.

— Stanowczo! To wielki dla nas honor widzieć panów u nas.

Serdecznie was pozdrawiamy i gotowi jesteśmy każde wasze słowo o zbrodni przyjąć za zaprzysiężone zeznanie.

60

‘ — Dziękuję, sir! Ale taki czyn musi być osądzony według praw prerii, które żądają pewnych, nieodparty ch dowodów. Wyrok nie może zapaść tylko w oparciu o to, że pan nam ufa i wierzy.

Winnetou, który nigdy nie używał alkoholu, odmówił skosztowania grogu, ja natomiast pijąc gorący trunek obszernie zrelacjonowałem, co wiemy i co myślimy o Grindrze i Slacku. Nie skończyłem jeszcze, gdy drzwi się otworzyły i na progu stanęli obaj bandyci.

— Alldevils\ — krzyknął Grinder. — Niech oślepnę, jeśli to nie ten Beyer ze swoim Indianinem!

— To on — odpowiedział kapitan, skinąwszy na porucznika, który się natychmiast oddalił. — Prawdopodobnie niemiło wam ujrzeć tutaj obu tych gentlemanów?

— Niemiło? Niech mnie diabeł porwie, jeśli cokolwiek, co dotyczy tych ludzi, jest mi miłe, lub niemiłe! Nie obchodzą mnie wcale. Są mi obojętni. Są jak powietrze!

— Wątpię! Gdybyście wiedzieli, co ich sprowadziło do fortu Hil-lock, opuściłaby was obojętność.

— Pshaw\ Co ich mogło sprowadzić! My obaj nie mamy z nimi nic, absolutnie nic wspólnego! Przyszliśmy tylko dowiedzieć się, czy wasi ludzie wrócili. Mam nadzieję, że obaj czerwoni szubrawcy dyndają już na postronkach?

— Nie, nie dyndają. Mister Beyer sprowadził ich z powrotem.

— Jak? Co? Beyer? Co ten Beyer i jego Indianin mogą mieć z tą sprawą wspólnego?

— Bardzo wiele! Znają prawdziwych morderców. Ścigali ich do samego fortu.

— Prawdziwych morderców? Przecież to właśnie obaj Indianie Caddo!

— Nie. Mister Beyer twierdzi, że prawdziwi mordercy nazywają się Slack i Grinder.

— Slack i Grin... all devils, my? — krzyknął Grinder przerażony.

— Tak, wy!

61

— Jeśli on tak twierdzi, to niech z miejsca oślepnę jeśli nie stracił rozumu! Slack, gadaj, co o tym myślisz?

Zagadnięty pogroził mi ściśniętą pięścią i zawołał:

— Niech go licho porwie! Czego ten drab od nas chce? Słowo tego Dutchmana nie ma żadnej wagi. Bóg niech mi rozum wydrze, jeżeli mu nie zatkam go tak,, by milczał przez całe życie! Chodź, Grinder! Za wiele łaski dla takiego draba!

— Zostaniecie tutaj! — powiedział stanowczo kapitan.

Chcieli wyjść wbrew zakazowi, ale gdy otworzyli drzwi, zobaczyli przed sobą porucznika. Wkroczył z pół tuzinem kołnierzy, którzy natychmiast otoczyli zobójców.

— Co to ma znaczyć? Co to takiego? — krzyczał Orinder, usiłując się wyrwać.

— To ma znaczyć, że aresztuję was za popełnieni morderstwa, — odpowiedział kapitan.

Teraz nastąpiła scena, której niepodobna opisać. Iurie znaczy to, aby obaj aresztowani stawiali opór, byli zbyt tchórzliwi. Jedyńą ich obroną były słowa. Ale jakie słowa i wyrażenia?! Przekleństwa, zaklęcia, przysięgi, klątwy takiego rodzaju, że włosy stanęły mi dęba. Nigdy jeszcze w życiu nie słyszałem takich bluźnierstw.

Odetchnąłem gębo-ko i z ulgą, kiedy wreszcie wyprowadzono ich, aby umieścić pod kluczem. Nawet Winnetou, którego nic nie mogki wyprowadzić z równowagi, ujął mnie za ramię tak mocno, że mnie a<sup>^</sup> zabolalo i rzekł:

— Szarlich, czy czerwony człowiek bluźniłby tak przeciwko swemu Manitou? Kto może twierdzić, że biali są lepsi, niż d<sup>^</sup>eci prerii? Jeśli tu jest Dziki Zachód, to zdziczał tylko pod wpływem białych przybłę-dów, których niegdyś czcziliśmy jak bogów! Howgh\

Po pewnym czasie wrócili kawalerzyści, którzy pogrzebali obu podstępnie zamordowanych. Przywieźli wszystko, <sup>^</sup> znaleźli w ich kieszeniach. W notatkach widniały dokładne adresy jch krewnych. Niebawem rozpoczął się obiad. Winnetou i ja zostajmy zaproszeni do stołu oficerskiego.

Następnie zwołano sąd wojenny, składający się z oficerów i trzech podoficerów.

Winnetou i ja byliśmy świadkami, byli nimi również obaj Caddo. Kiedy wszyscy się zgromadzili, sprowadzono Grindera i Slacka, spętanych i strzeżonych przez czterech żołnierzy.

Obaj oskarżeni nie mieli przygnębnego wyglądu. Występowali bulnie, oświadczyli nawet, iż nie mogą uznać kompetencji obecnego sądu. Wiedzieli dobrze, że świeży śnieg pozbawił nas istotnych dowo-dów. Mogliśmy tylko znaleźć zrabowane złoto i powiedzieć im goło-słownie, że oni je ukryli. A że podarowali Caddo konie i broń, to nie miało żadnego znaczenia, ponieważ mogli sami je dostać, nie popeł-niając morderstwa. Przede wszystkim, świadectwo obu tych czerwonych, według praw prerii praktycznie się nie liczyło.

Nie mogę stwierdzić, aby kapitan, jako przewodniczący sądu, pro-wadził dochodzenie sprytnie. Jednak jeśli mam być szczery, to muszę wyznać, że i ja nie potrafiłbym wymóc na oskarżonych przyznania się do winy. Główną podstawą do oskarżenia w tych warunkach była okoliczność, że jechali tak, aby zamordowanych dogonić dopiero po zapadnięciu zmroku. Wprawdzie i te ślady były niewidoczne, ale mogliśmy na to przysiąc. Dowodziło to jedynie, że dogonili Burnin-gów, ale nie, że ich zamordowali.

Wskutek tego całe przesłuchanie sprowadziło się tylko do oskarżeń ze strony kapitana i do zaprzeczeń oskarżonych. Czelnosc ich nie miała granic, a przekleństwa były tak nieprawdopodobne, że, nie mogąc dłużej tego wytrzymać, poprosiłem przewodniczącego, aby odłożył posiedzenie.

— Odłożyć? — zapytał ze śmiechem Grinder. — Stanowczo pro-testuję! Żądamy albo natychmiastowego skazania nas na podstawie nieodpartych dowodów, albo bezzwłocznego wypuszczenia na wolność. Niech z miejsca oślepnę, jeśli pozwolimy na coś innego!

— Tak — dorzucił Słack. — Albo nas powieście, albo wypuście!

Nie ma innego wyjścia. Oszczerstwa tego Beyera i jego Indianina są tak śmieszne, że po prostu lituję się nad ich głupotą. Nie można nam

62

63

nic zarzucić. Aby Jednak oczyścić się zupełnie, damy im szansę zwycięstwa.

Wsadźcie nas czterech dziś wieczorem do ciemnego pokoju i dajcie każdemu dobry ostry nóż do ręki. Jeśli się zgodzą na to rycerskie rozstrzygnięcie, to niech mi Bóg wydrze rozum, jeśli nie dowiedziemy naszej niewinności w taki sposób, że rano zostaną po nich tylko cuchnące ścierwa. Czy zgadzasz się Grinder?

— Z najwyższą przyjemnością! — odpowiedział zapytany. — Ame-rykański pojedynek w ciemności to nasza specjalność. Niejeden już zginął od naszych noży. Sprawi mi to wielką radość, jeśli ci tak zwani gentlemani zgodzą się na twoją propozycję. Niestety, jestem prze-świadczony, że zabraknie im odwagi. Kłamać mogą w żywe oczy, ale walczyć? Pshaw!

Spojrzałem badawczo na Winnetou. Odpowiedział potakująco drgnieniem rzęs.

— To są tylko próżne przechwałki! — rzekłem. — Jeśli my się zgodzimy na tę propozycję, oni się wycofają.

— Wycofamy? — roześmiał się na całe gardło Grinder. — Dwaj tak znakomici, siejący postrach pojedynekowicze, jak my! Ten wykręt jest tak śmieszny, tak głupi, że nie znajduję słów odpowiedzi!

Nie przestawali dalej szydzić, aż zaproponowałem przewodniczącemu, aby uznał ten podwójny pojedynek za Sąd Boży. To ostatnie wyrażenie rozśmieszyło oskarżonych. Byli przeświadczeni, że tylko na pozór zgodziliśmy się na pojedynek, ale że wieczorem na pewno postaramy się ulotnić. Kapitan zaś, który znał nas, wyraził zgodę. Postanowiono, że nas czterech zamkną w chacie na dwanaście

godzin, od ósmej wieczór do ósmej rano, abyśmy walką rozstrzygnęli sprawę. Zaraz potem wyprowadzono aresztantów. Nie omieszkali szydzić z nas. Oczywiście znów umieszczono ich pod kluczem. Pewność mor-derców płynęła z tego, że przy rewizji nie znaleziono przy nich ani śladu zrabowanego złota, i że uważali nas za żalosnych nowicjuszy, którym się nawet nie śni doczekać wieczora w forcie Hillock.

### **Skoro odeszli, kapitan milczał, nie śmiał udzielać nam rad. Dla**

64

niego wynik pojedynku nie ulegał wątpliwości. Cała załoga była za-chwycona, że będzie miało miejsce tak interesujące zdarzenie. Obej-rzeliśmy chatę, w której miano nas zamknąć. Stała pod drzewem i była sklecona z surowych mocnych belek. Zamykał ją ciężki, długi rygiel drewniany. Chwilowo nie było w izbie nic, prócz słomy w kącie.

Rozmawialiśmy prawie do ósmej z oficerami, nie napomykając wcale o pojedynku. Strażnicy donosili wielokrotnie, że Grinder i Slack stale pytają, czy jeszcze jesteście w forcie. Punktualnie sprowa-dzono ich do chaty i wręczono im noże. Następnie oddaliśmy kapita-nowi całą naszą broń, prócz noży. Wzięliśmy nasze ciepłe pledy i kazaliśmy się zaprowadzić na miejsce walki. W towarzystwie kapitana i porucznika weszliśmy do chaty. Żołnierz oświetlił wnętrze pochod-nią. Grinder i Slack stali pod tylną ścianą, trzymając noże w ręku.

— Nadchodzą! — szydził — Grinder. Idą na spotkanie śmierci!

Po co czekać do jutra? Można będzie za kwadrans otworzyć drzwi, bo szybko wyprawimy łotrów do piekła!

Drżący głos zadawał kłam tym buńczucznym słowom. Zawiodła nadzieja, że umkniemy i oto opanował ich strach. Podczas gdy my rozkładaliśmy nasze pledy w kącie, jak gdyby szykując się do spania, kapita- odezwał się do fanfaronów:

— Bardzo możliwe, ale prawdopodobnie z przeciwnym skutkiem.

Właściwie nie wiecie nawet, kim są Mister Beyer i jego Indianin.

— Kim mają być! — odparł Slack. — Ludzie, którym jeszcze nie zaschło za uszami. Bóg niech mi dzisiaj, wydrze rozum, jeśli po upływie godziny szubrawcy będą mieli kroplę krwi w żyłach!

— Przestań pan bluźnić! Jeśli wasze słowa mają być spełnione, to jeden z was opuści to miejsce ślepy, a drugi obłąkany. Dowiedzcie się w końcu, kogo macie przed sobą! Ci gentlemani to Old Shatterhand i jego czerwony przyjaciel Winnetou i nie wątpimy, że wyjdą stad nienaruszeni.

— Old Shatter.-.Win... — rozległo się po chwili ciszy. Ze strachu nie mogli wypowiedzieć pełnych nazwisk. Upłynęła chwila, zanim

## **5 — Niebezpieczne szlaki 09**

Grinder dodał:

— Niech z miejsca oślepnę, jeśli to nie jest beczelne i przekłete kłamstwo!



Podszedłem doń, uchwyciłem go prawą ręką za pas podniosłem i rzuciłem o ścianę, tak, że aż belki jęknęły po czym bez słowa wróciłem na miejsce. Komendant zaś odezwał się do Grindera, który podniósł się, jęcząc i klnąc.

— To był dowód, że mówiłem prawdę. Taką siłę w rękę ma tylko Old Shatterhand.

Czy wierzycie, że to on?

— Niech was diabeł porwie! — syknął Slack.

— To oszustwo, to zasadzka! Dlaczego nam wcześniej nie powiedziano, co to za ludzie? Zabijają nas powoli, na pewno zakłują w ciemnościach! To jeszcze gorsze, niż gdyby zapadł wyrok. Chcemy stąd wyjechać! Przesłuchajcie nas jeszcze raz!

— Czy chcecie się przyznać do rabunku?

— Nie i jeszcze raz nie! Jesteśmy niewinni!

Teraz Winnetou gestem nakazał milczenie i rzekł spokojnie:

— Tu oto stoi Winnetou, wódz Apaczów, a tu stoi jego brat i przyjaciel Old Shatterhand, któremu nigdy jeszcze nie oparł się żaden wróg. Nie powiedziałem dotąd ani słowa, ale teraz rzeknę, co się ma stać. Zaryglują nas teraz i następnie obstawią chatę, aby mordercy ze strachu nie przebili się przez ściany. A potem, mimo mroku, noże nasze przebiją morderców, ponieważ oczy nasze przywykły do ciemności. Jesteśmy jak węże, których się nie słyszy, kiedy pełzają. Dzisiaj już padło dosyć zbytecznych stów, teraz nastąpią czyny. Usłyszysz się śmiertelne okrzyki morderców, którzy padną pod naszymi nożami. Możemy zaczynać!

Słowa Winnetou, a zwłaszcza ton po prostu zmiążdżyły łotrów.

Drżącym głosem zaczęli prosić, grozić, klnąć, ale daremnie. Gdy zaś żołnierz z pochodnią wyszedł, ścisnęli pięści i zaczęli powtarzać swoje zwykłe przekleństwa ze ślepotą i obłędem. Dopiero kiedy zaryglowano drzwi, umilkli i starali się nie wywoływać szmeru, abyśmy nie

66

widzieli, gdzie się znajdują.

Co się nas tyczy, to nie chcieliśmy ich zakłuć, lecz strachem doprowadzić do wyznania prawdy. Byliśmy przeświadczeni, że nie ośmielą się nas zaatakować. Mimo to odsunęliśmy kołdry i położyliśmy się z wyciągniętymi nogami, tak, że każdy, kto by się zbliżył, musiałby ich dotknąć. Czekaliśmy gotowi do obrony, trzymając mocno noże.

Nie mieliśmy, oczywiście, żadnego sposobu odmierzenia czasu. Jednakże instynktownie odliczyłem godzinę, a nie usłyszeliśmy żadnego szmeru. Naraz zrobiło się tak zimno, że zmroziło nas do szpiku kości, a wkrótce potem głuchy poszum rozległ się nad dachem. W kilka minut później usłyszeliśmy przez ścianę krzyk:

— Czy widzicie błędne ognie we wszystkich narożnikach? Zbliża się blizzard, blizzard! Ratujcie się w strażnicach, szybko, szybko!

Blizzard straszliwa zamieć śnieżna na zachodzie Missisipi, nadcią-gająca z pomocy. Wyprzedza ją nagły i nader gwałtowny spadek temperatury. Blizzard mija szybko jest jednak nie mniej niebezpieczny, niż straszliwe wjugi Azji. Towarzyszą mu rozmaite zjawiska elektryczne i nawet zimą błyskawice nie są rzadkością. Biada temu, kogo blizzard spotkał poza domem, albo w niezbyt solidnym budynku! Blizzard wszystko porywa i pokrywa każdą najwyższą rzecz warstwą śniegowego całunu.

Nawoływania umilkły, wartownicy pochowali się w strażnicach. Nastąpiło pierwsze uderzeniewichru, który usiłował wszystko porwać i zdruzgotać. Zawyło, zasyczało, zastękało i ryknęło nad nami, niczym niewidoczne olbrzymie fale, które wszystko zmiatają bez litości! Huknął piorun, rozświeciły się błyskawice. Wnętrze chaty wypełniło się gęstym śniegiem, który orkan zapędził przez wszystkie szpary. Drze-liśmy z zimna, dzoniliśmy zębami, chociaż zawinięci byliśmy w pledy. Podłoga trzęsa się, a belki trzeszczały. Trwało to przeszło półgodziny, po czym nastąpiły krótkie przerwy, podczas których słyszeliśmy jęki i rżenie Girndera i Slacka, może jęki trwogi? Nie mogliśmy jeszcze wiedzieć. Niebawem orkan znowu wzmógł się, szykował do ostatniego

67

uderzenia. Podłoga trzęsa się gwałtownie. Chata trzeszczała i prze-chylała się w prawo i w lewo. Po chwili zapadła się tylna część dachu. Blizzard, jak gdyby zaspokojony spustoszeniami, ustał. Spokój nastąpił równie prędko i znienacka, jak wybuchła burza. Niebezpieczeństwo minęło.

Czy istotnie minęło? Dla Winnetou i dla mnie, owszem, ale czy także dla innych? Spod ruin zapadniętej chaty wydobyła się jakaś postać, która uciekła ze straszliwym rykiem. To był Slack. Z drugiego zaś kąta rozlegały się nieartykułowane dźwięki, jak gdyby ktoś chciał krzyknąć, ale nie mógł. Odwinęliśmy się z pledów. Grinder leżał między potrząskanymi deskami pod belką, która przygniotła mu pier-si. Podniosłem ją, a Winnetou wyciągnął rannego, który leżał w omd-leniu. Zanieśliśmy go do mieszkań oficerów. Przed drzwiami spotka-liśmy kapitana, który wyszedł zbadać wyrządzone szkody. Zawrócił z nami do pokoju. Skoro położyliśmy Grindera u ogniska i obejrzeli go, nie mogliśmy powstrzymać się od okrzyku. Deska nabita gwoźdźmi zwała się na twarz, rozbiła mu kość nosową i wykuła oczy.

— Ślepy, ociemniały, ślepy! — krzyczał kapitan, składając ręce. —

Błuznił, że pragnie oślepnąć! To wyrok boży!

Nic nie odrzekłem, byłem głęboko wstrząśnięty. Winnetou również milczał.

Opatrzyliśmy rannego i położyliśmy go na pościeli jednego z oficerów. Następnie poszliśmy zbadać skutki orkanu. Zawaliła się jedynie nasza chata. Udaliśmy się na poszukiwanie zbiegłego Slacka. Ślad prowadził do ogrodzenia, a następnie wiódł do pobliskiego lasu. Śnieg był głęboki po kolana. Świecił tak jasno, że mogliśmy iść bez pochodni. Dotarłszy na skraj lasu, usłyszeliśmy pośród drzewami jakiś dziwnie zawodzący głos. Weszliśmy w głąb lasu i zastaliśmy Slacka, który spod drzewa usunął śnieg. Leżąc na ziemi, jedną ręką grzebał i nucił przy tym jak dziecko:

— Piasek, nuggety.-piasek, nuggety-osiem pełnych toreb.-.osiem pełnych toreb!

## **Z trudem zdołano go odciągnąć. Pod mchem znaleźliśmy osiem**

68

ciężkich skórzanych worków. Zgadzało się to z notatkami Burningów.

Było to złoto które przyprawiło ich o zgubę.

Slacka zaciągnięto z powrotem do fortu. Włosy miał zalepione krwią. Skoro zbadaliśmy głowę, okazało się, że jego również ugodziła deska. Czy to go pozbawiło rozumu, czy może oszalał ze strachu, niepodobna rozstrzygnąć. A zatem Grinder ślepy, a Slack obłąkany! Tak, jak tego żądali.

Po burzy wypogodziło się bardzo szybko. Wspaniała pogoda po-zwoliła nam kontynuować podróż. Grinder i Slack, jako chorzy, zostali w forcie. Dalszy ich los zależał od tamtejszych oficerów, którzy odprowadzili nas dosyć daleko. Obaj Caddo dostali w podarunku konie Grindera i Slacka, mogli nam zatem towarzyszyć. Doprowadzi-liśmy ich do rzeki Platte, dalej poszli w swoją drogę.

\*

W cztery lata później wysiadłem w Baton Rouge nad Missisipi, ponieważ chciałem tu czekać na parowiec do Natchez. Na bulwarze siedzieli dwaj żebracy, nieszczęśni, chudzi, w łachmanach. Twarze ich wydawały mi się znajome. Jeden miał puste oczodoły, a zamiast nosa głęboką i szeroką bliznę. Drugi wyciągał kapelusz, strojąc błagalne miny. Skoro rzuciłem srebrną monetę, wyjął ją szybko z kapelusza i wymamrotał:

— Piasek, nuggety...osiem pełnych toreb...osiem pełnych toreb!

Wiedziałem, kogo mam przed sobą. Mordercy nie znaleźli zasłużonej kary w forcie Hillock. Ale ich obecne położenie było gorsze od śmierci.

W tym samym roku przybyłem przypadkowo do Mobeily nad Missouri. Zapytałem o rodzinę braci Burning. Usłyszałem historię zamordowania obu braci, oczywiście z najprzeróżniejszymi dodatka-mi, tyczącymi się bohaterskich czynów Winnetou i Old Shatterhanda. Nie powiedziałem, kim jestem. Wystarczyła mi wiadomość, że tapitan dostarczył rodzinie osiem pełnych torebek złota wraz z obszernym pisemnym sprawozdaniem.

spis

1 \$s1d na prerii

2 \$blizzard